TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. Drezno, dnia 18. Grudnia 1870. **№ 51.**

Od Redakcji i Administracji Tygodnia.

Odpowiadając życzeniom czytelników naszych, w listach do Redakcji wyrażonym, ogłaszamy przedpłatę **na pierwszy kwartał roku 1871.** — Pracę naszę ofiarujemy chętnie, byleby koszta wydania powrócić mogły. Upraszamy więc życzliwych nam o rozszérzenie kręgu czytelników, od których liczby dalszy los dziennika zależeć będzie. Co do treści jego starać się nie omieszkamy o wskazane nam ulepszenia i uczynienie go o ile możności zajmującym. Abonować najłatwiej przez uproszone osoby, karty pocztowe, w głównym pocztamcie w Dreznie i u pp. księgarzy, którzy się pośrednictwa łaskawie podjąć chcieli, jako też na wszystkich urzędach pocztowych. Kwartalnie w Niemczech prenumerata wynosi **talar jeden.**

Upraszamy o wczesne zapisywanie, gdyż w razie spóźnienia, pierwsze numera z trudnością by nam przyszło dostarczyć.

Drezno, dnia 11—18. Grudnia 1870.

Cesarstwo niemieckie, którego narodziny przepowiadaliśmy z początkiem wojny, dziś już jest spełnionym faktem. Nie wywołało ono takiego zachwytu w Niemczech, jakiego się może spodziewano; miano czas bowiem oswoić się z ideą, której urzeczywistnienie oddawna było celem widocznym polityki hr. Bismarcka. Zrodzone wśród szczęku oręża, nosi ono tę cechę wojskową, jaka jest do wszelkiego cezaryzmu przywiązana. — W obec cesarstwa niemieckiego, które dziś wzięło spadek rzymskich cezarów, i rosyjskiego, które byzanckiego ma być dziedzicem, cesarstwo austrjackie pozostaje starożytną, archeologiczną pamiątką. Cezaryzm niesie z sobą ideę konieczną monarchji uniwersalnej, zwierzchnictwa nad światem, który z biedy daje się podzielić na dwie połowy, ale niema najmniejszego powodu rozdzielać się na trzy. Zostaje więc monarchom Austrji tytuł pamiątkowy, coś w rodzaju cesarstwa brazylijskiego lub t. p.

W średnich wiekach marzono, za czasów Dantego, o takiej organizacji państw wszystkich, by najwyższą władzę świecką miał cezar, najwyższą duchowną głowa Kościoła, papież. Od tych lat ludzkość znacznie podrosła w pojęciach i innémi poszła drogami — dziś wszakże *de facto* cesarstwo niemieckie panuje Europie, i w polityce ma głos rozstrzygający.

Wojna tymczasem przeciąga się nad wszelkie przewidywania, a Francja obwołana bezsilną i zdezorganizwaną, dobywa z rozdartych wnętrzności resztki rozpaczliwej odwagi, broniąc się zawojowaniu. — Dziś mniej niż kiedy przewidywać można koniec walki, do której wmieszały się — zima, choroby, znużenie i głód.

Więcej niż trzecia część kraju francuzkiego jest pustynią — życie ustało, praca zawieszona, straty ogólnego handlu, przemysłu, zamiany płodów, są nieobliczone i nawet w Niemczech się czuć dają. — To też znaczna część krajów, składających cesarstwo nowe, wzdycha do zawarcia pokoju.

Konferencja Londyńska rozstrzygnie zapewne sprawę neutralności morza Czarnego na korzyść Rosji, a w każdym razie wojny nie będzie i ks. Gorczaków okólnika nie odwoła.

Jedyną dyplomatyczną nowością jest groźna nota hr. kanclerza, wyrzucająca Luksemburgowi jego sympatję dla Francji.

Dzienniki mówią też o projekcie zakupienia księstwa Luksemburgskiego, któreby dało niemieckiemu cesarstwu pozycję strategiczną pożądaną i uwolniło je od anneksji Alzacji i Lotaryngji. Ułatwiłoby to pokój, gdyż Francja bezwarunkowo zgodziłaby się na zniesienie twierdz: Metzu, Strasburga i innych pogranicznych.

Pomysł więc hr. Bismarcka byłby bardzo szczęśliwym, gdyby można w istocie przypuścić, że Luksemburg zaspokoi pragnienia Niemiec. Ukończenie morderczego boju, którego skutki moralne są niezmiernej doniosłości — byłoby dla całej Europy dobrodziejstwem.

Stan rzeczy w Rzymie maluje list naszego korespondenta, któremu odpowiedzialność opisanych faktów zostawiamy. Pozwalamy sobie uczynić tę tylko uwagę, iż przypisywane ks. arcybiskupowi pośrednictwo do Ojca Św., aby Alzację i Lotaryngję skłonił głosem swym do dobrowolnego połączenia się z Niemcami — inny cel mieć musiało. Sądzilibyśmy raczej iż żądano za pośrednictwem ks. arcybiskupa u Ojca Św.. brewe do biskupów i duchowieństwa francuzkiego w ogóle, aby listami pasterskiemi do oporu i zaciętego boju zachęcać i zagrzewać przestało. Od niejakiego bowiem czasu duchowieństwo czynny bierze udział w obronie Francji i daje dowody patriotyzmu gorącego. Właściwsza by była żądać od Ojca Sw. powstrzymania duchowieństwa od mieszania się w politykę i zupełnie w duchu pojęć ks. arcybiskupa — gdy Alzacja i Lotaryngja właśnie wedle tych pojęć i zasąd — nie mają ani głosu, ani prawa rozporządzania sobą. Całe to posłannictow,

o którém szeroko rozprawiają dzienniki, tak się najlepiej tłumaczy, zdaniem naszém....

W Rosji postępuje dalej reorganizacja armji, wedle wzoru niemieckiego. — Rzeczą drobną, ale jak na te czasy może nie bez pewnego znaczenia jest, iż cesarz potwierdzając dnia 22. Listopada zapis na dwa stypendja p. Jana Bącewicza, dozwolił je obwarować wedle woli testatora, dla uczniów pochodzenia polskiego, odznaczających się postępami w literaturze polskiej!

W Rosji użycie nawet tego wyrazu w urzędowém pismie, gdzie zwykle dla uniknienia polskiego królestwa, zowie się kraj nadwiślańskim, zadziwić może.

Cyfra budżetu oświaty w Rosji wynosi na r. 1871 — w przybliżeniu 8,952,720 ruble. Jest ona w stosunku do potrzeb i do rozchodów ministerjalnych, nader szczupła.

W Królestwie stan majątkowy obywateli najlepiej się wykazuje przymusowémi sprzedażami dóbr, których statystykę daje „Gazeta kielecka.“ W gubernji Kieleckiej, w ostatnich latach wprawdzie nad 6 lat 7 majątków nie sprzedano; w innych nierównie więcej. W Radomskiej w tym samym czasie 12, między innémi Końskie Wielkie, które nabył hr. Jan Tarnowski z hr. Adamem Potockim. Samych wierzytelności po hr. Małachowskich, które spadły i przewyższyły wartość dóbr liczą do dwóch miljonów. Kilka majętności nie znalazły nabywcy, tak że Towarzystwo kredytowe same je objąć musiało.

Do nowin warszawskich należy, iż jeden z głównych przewódzców komitetu urządzającego, Sołowjew, powołany został do Petersburga. Oby też na ojczystej swej ziemi pozostać raczył!

Warszawę bawi ystawa prac, zajęć i zabawek dla dzieci, Bazar Merkurego, p. Arbeau chiromanta, olbrzym Drassal i rosnący w sławę deklamator, muzyk p. Aleks. Chodecki, który dostąpił honorów medalionu na wystawie sztuk pięknych. — Oprócz tego grają jej p. Górski i p. Friemann na skrzypcach, a w teatrze występ panny Kwiatyńskiej i ozdrowienie p. Modrzejowskiej zajmuje lubowników sceny.

Po pię nem tłumaczeniu Siemieńkiego, warszawski Klin wydał, nie wiem już które, tłumaczenie Horacego, tego Heinego Rzymian. Jak innych wydań warszawskich, tak i tych nowości myśmy tu pozbawieni. — Rychlej coś od nas tam się wciśnie, niż ztamtąd zabłądzi do nas.

Pisma illustrowane przed Nowym Rokiem stroją się w najpiękniejsze sukienki.... Szczególniej „Tygodnik“ drzeworytami ślicznémi się odznacza. W „Opiekunie domowym“ znaleźliśmy drzeworyt zasłużonego redaktora „Gwiazdki cieszyńskiej“ Stalmacha.

Kraj z powodu processu, jaki się odegrał w Krakowie, został skonfiskowany. — Rzecz się tak miała: p. Ign. Maciejowski emigrant, został wydalony z Krakowa i monarchij austryjackiej. Udał się on do Węgier i tam otrzymał obywatelstwo, został mianowany vice-notarjuszem, wziął legalny pasport i z nim przyjechał do Krakowa. Tu owego obywatela Węgier przyaresztowano, wytoczono mu process i wydalono z całej monarchij austryjackiej, zatém z kraju, którego jest obywatelem. — Osobliwszy ten process wywołał artykuł pod tytułem: Emigracja polska, za który „Kraj“ skonfiskowano.

„Pomimo wszelkich zdobyczy na polu autonomiczném w Galicji, węzły spraw galicyjskich spoczywają w ręku ludzi, których sympatje podzielone są między Niemcami a Moskwą, a w których duszy tkwi tylko jedna nienawiść — przeciwko Polsce i wszystkiemu co polskie.“

W zakończeniu pisze „Kraj“:

„Ciężka atmosfera policyjno-prokuratorska spada jak zmora na „niezawisły sąd“ i wydanym zostaje wyrok niesłychany, który ubliża powadze sądu, bo przekracza zakres jego władzy i staje się niewykonalny — boć przecież sąd krakowski nie myśli na serjo, że może wydalać obywateli węgierskich — z Węgier!!“

Wytoczą zapewne process „Krajowi“, ale nie sposób by i on go mógł przegrać. — W jednym z numerów „Kraju“ znajdujemy wyciąg ciekawy z rosyjskiego dziennika **Głos**, który znowu zagaja sprawę ugodową, oświadczając, że „Rosja gotową jest lepiej się obchodzić z Polakami, jeśli Polacy będą względniejsi dla Rusinów w Galicji.“

Na to byśmy tylko odpowiedzieli, że naprzód prosiemy, aby nam to wolno było pisać, mówić i czynić w Rosij, co wolno w Galicij Rusinom. Na dziś więcej nie żądamy. Dalej gotowiśmy iść krok w krok za Rosją. Prosimy tymczasowo o takie uwzględnienie języka i narodowości w Litwie, na Ukrainie i Wołyniu, po uniwersytetach i szkołach, jakie ma Ruś galicyjska.

Nam nie idzie o „koncesje“ ale o „prawa naturalne“, które przyznajemy Rusi, a które nam są wydzierane. Wszak ci po rusińsku nikt mówić nie broni, ani pisać ani drukować, tak li jest w Wilnie, Kijowie, Mińsku i Żytomierzu?

„Kraj“ w kilka dni po skonfiskowaniu artykułu o emigracij polskiej, dał rozwinięcie jego, i jasno postawił kwestję tę, domagając się, by dopuszczono narodowości polskiej, siły swe wszystkie skupić w tym jednym swobodniejszym zakątku.

„Djabeł“ przesiąkł biedny polityką... ale ma wiele dowcipu. Illustracja Konferencje, dobrze wyrysowana.. Niedźwiedź przedziwny. W „Przeglądzie lekarskim“ ktoś odpowiedział korespondencją Z nad Rudawy, na list prof. Urb., tyczący się jego fizyki i nagród Lubomirskiego.

Dziennik polski, powiada w jednym ze swych artykułów o położeniu Austrij, które zdrowo oceniać umie.

„Snać mają się spełnić jakieś srogie przeznaczenia, i jakieś złowrogie fatum oddało losy tego mocarstwa w najbezwładniejsze, najnieporadniejsze ręce. Stosunki zewnętrzne nie pozwalają mu się skonsolidować wewnątrz, a brak skonsolidowania wewnętrznego nie dozwala akcji na zewnątrz. Bach rujnował Austrję, ale przynajmniej wiedział do czego dąży. Dzisiejsi jej przywódzcy czynią to samo, i niemogą nawet przytoczyć na swoje uniewinnienie, iż gonią za urzeczywistnieniem jakiegoś, choćby najniewłaściwszego planu. Najnaglejsze sprawy zbywają się na dziś, bez myśli o jutrze, brak energii i brak myśli uzupełniają się nawzajem. Jeżeli wśród takich stosunków, w obec zmian dokonywających się w Europie, Austrja się ostoi, będzie to rzeczywiście bezpośredniem zrządzeniem Opatrzności — bez przyczynienia się ludzkiego.

Wielka to prawda — ale są *fata* nieuniknione! Polityka słabych musi być słabą.

Wybory do Rady miasta Lwowa, wedle nowo-potwierdzonego statutu, nieco ożywiają miasto, a więcej pono jeszcze nieszczęsna wojna domowa w łonie Sokoła — o czapki. Idzie tu o kepi lub rogatywkę... Sokol chce zrzucić to znamię polskie a wdziać neutralne kepi. — Pozwólcie mu panowie, byle rogatywkę schował — do serca. — Sporzyć niema o co.

W łonie także ruskiej czytelni spór o charakterystyczne dwa *ss;* dzielący na dwa obozy... Moskalofile stoją przy dwóch *ss*, wyrażających symbolicznie wszechsłowiańską potęgę Rosij — Rusini czystej krwi, wolą się jednem a własnem *s* obchodzić...

Z Kołomyi donosi **Jutrzenka** o przybyciu tam ruskiego teatru pana Mołęckiego, który trzy razy na tydzień grywać będzie.

Dziennik poznański, mieści artykuł nadesłany, bardzo trafne zawierający uwagi nad adresem trzech kapituł: poznańskiej, gnieźnieńskiej i chełmińskiej „w imieniu wszystkich wiernych“ tych diecezij w sprawie Ojca św. do cesarza Niemiemiec. Adres ten, który ks. arcybiskup woził do Wersalu ukazał się naprzód w dziennikach niemieckich. — Jest przynajmniej dziwném a smutném, żeby głowa katolickiego kościoła, zmuszoną była wyczekiwać obrony od mocarstwa, które jest głową protestantyzmu, aby duchowieństwo chciało się uciekać do tej siły — która praw, z jakich Ojciec św. władał światem i dziedzictwem św. Piotra, uznawać nie może.

Z powodu wyrażenia korespondenta naszego, w rzeczy wyborów w Kościanie: iż „delegat osądził za właściwsze, nie przybyć na walne zebranie“ mieści też Dziennik tłumaczenie delegata p. Wład. T. Zakrzewskiego, który poświadcza się listem p. K. Chłapowskiego, że o dniu walnego zgromadzenia, nie był zawiadomiony. Było to „nieporozumienie.“

Cała wina spada na tego, który nie sądził, ażeby o dniu zebrania zawiadomić było potrzeba.

Gazeta toruńska następne mieści uwagi o wyborach do rady miasta w Poznaniu:

Po smutnych wyborach do sejmu pruskiego, spotkała nas przed kilku dniami w samém Poznaniu nowa klęska wyborcza i to bardzo dotkliwa. Poznań liczy około 50,000 mieszkańców, przynajmniej połowę Polaków, popisał się przy ostatnich wyborach do rady miej-

skiej tak, iż na 36 reprezentantów tylko jednego ma Polaka. — Poznań mieni się być „grodem Przemysława,“ „stolicą Wielkopolski“ etc. etc. i jest jednym i drugim niezaprzeczenie, lecz zapomina o owym: „noblesse oblige.“ Poznań powinien z tego tytułu innym miastom prowincjonalnym przyświecać przykładem gorliwości i organizacji przy wyborach komunalnych, powinien być wzorem dla nich. Tymczasem Pakość jakoś przeprowadza do rady swej wszystkich Polaków, podczas gdy Poznań, ów gród sławny, na 36 tylko jednego. Wiedząc że układanie okręgów wyborczych jest nie w naszych ręku, i że ludność niemiecko-żydowska przy trzyklasowych wyborach ma z góry przewagę nad nami, nie żądamy zwycięztwa całkowitego, lecz rezultat taki, jakiśmy ostatnią razą osięgli, przypisać możemy tylko własnemu niedbalstwu i niedołęztwu. Wybory do rad miejskich pod pewnym względem ważniejsze są od wyborów sejmowych. Miasta jakkolwiekbądź rządzą się pewną autonomją. Co rada ustanawia ma walor, a roztrzyga ona o najżywotniejszych sprawach mieszkańców tak z działu politycznego jak materjalnego, mianowicie co do szkół, języka i t. p. Jest więc bijącą w oczy koniecznością wszelkich możliwych używać środków, by wybory do niej ile możności po naszej wypadły myśli. Domagamy się często praw nam przynależnych, niestety bezskutecznie, a tu gdzie mamy wszelką swobodę używania ich, nie chcemy lub nie umiemy z nich korzystać, nie pomni że ten tylko jest godzien praw i swobody, który jej używać i bronić potrafi!! Żydzi pod tym względem daleko gorliwiej i roztropniej sobie postępują, u nich przy ostatnich wyborach składano się nawet na podatki zaległe uboższych ich współwierców, by im tylko umożebnić udział w wyborach. Nasz patrjotyzm, którym się tak chełpić lubimy, pozostaje w tyle za patrjotyzmem już nawet żydowskim, i dla tego też żydzi nas przy wyborach miejskich zupełnie na głowę pobili. To się powinno, to się musi zmienić. I u nas solidarność przestać powinna być li dźwiękiem, w powietrzu przebrzemiewającym!

W tych dniach miało się odbyć walne zebranie komitetu teatralnego w Poznaniu. Dowiadujemy się przy tém z Dziennika o dalszych francuzkich odczytach pan Argant (ostatni o C. Delavigne.)

Z „Gazety toruńskiej“ z pewną niespokojnością wspominającej o przyszłym wyborze w Lubawskiem, gdzie kandydatura ks. Romana Czartoryskiego postawioną została — widziemy, jakby jakieś powątpiewanie o rezultacie — ale trudno przypuścić, ażeby zabiegi tak gorliwe, w sprawie tak ważnej, mogły się nieposzczęścić. W Piątek dnia 16. ma się to rozstrzygnąć; a jeśli przed zamknięciem Dziennika otrzymamy wiadomość pomyślną, nieomieszkamy się nią podzielić z czytelnikami.

Na Szlązku austryjackim, szkoły ewangelickie, w większej części gmin, ogłosiły się „prywatnémi“ aby zostać ewangelicko-konfesyjnemi. Donosi o tém **Gwiazdka.**

Redakcja **Katolika** w Królewskiej Hucie (pruski Szląsk) od Nowego Roku ma też wydawać „Poradnik gospodarski.“ Szczęść Boże!

Nie odbierając ani spotykając **Dziennika literackiego** i **Mrówki** przez rok cały, z przypadkowo dochodzącego nas numeru dowiadujemy się, że się na „Mrówkę“ gniewamy. Czasu na to nie mamy, Bóg widzi. I owszém życzemy jej i „Dziennikowi literackiemu“ szczęścia i powodzenia, równie jak wszystkim wydawnictwom dobrej woli a sumiennym. Możemy w nich nie smakować, bo *de gustibus non est disputandum*, ale do gniewu daleko i uczuciu temu bronim się o ile możności. Litanija, którąśmy z „Jutrzenki“ zacytowali, z niej nam tylko była znaną. Mamy ją teraz nadesłaną z Poznania i wiemy już z kogo i jak narodziła się ta piękna poezja. Pewne względy powiedzieć imienia, głośnego zresztą — nie dozwalają. „Dziennika literackiego“ numer 47 został skonfiskowany. Konfiskaty są w Austrji widocznie znowu na porządku dziennym.

Księstwo poniosło stratę dotkliwą, przez śmierć p. Stanisława Wierzbińskiego, brata zasłużonego posła pana Władysława. Stanisław porucznik i dowódzca bataljonu inowrocławskiej landwery, zginął ofiarą tej wojny, która życie tylu ziomków naszych kosztowała. Pod Belfort uderzony granatem w głowę, padł zabity. Ś. p. Stanisław walczył mężnie w r. 1863 w szeregach polskich, za własną ojczyznę.

Na Wolyniu zmarł Rafał Strojnowski, b. marszałek szlachty, (jeszcze d. 30. Sierpnia) — który wprzódy niż ktokolwiek, pierwszy zajmował się kwestją usamowolnienia włościan i praktycznie ją w swoim majątku dopełnił. Pisał w przedmiocie ekonomji politycznej.

W Warszawie d. 11. Grudnia zmarł ks. Tomasz Dąbrowski Dr. św. Teol. — przełożony przy kościele św. Jacka, mając lat 78. Przed laty kilka obchodził on 50letni jubileusz kapłański; a z czasów gdy był profesorem szkół publicznych, pozyskał sobie miłość i poszanowanie uczniów swoich — których w Warszawie liczył wielu.

W Łysowie (Siedleckie) zm. d. 12. Kwietnia, mając lat 84 Marcin Błoński, niegdyś oficer artylerji wojsk polskich.

W Warszawie dnia 5. Grudnia zgasł Antoni Makay, b. oficer wojsk polskich, w wieku późnym, bo 82 lat dożywszy.

Dzienniki warszawskie przynoszą też, na ten raz już pewną wiadomość, o śmierci po dwuletnich, ciężkich cierpieniach, Zenona Fisza (Tad. Padalicy), który zmarł przed niedawném czasem w Kijowskiem. Zdolny i zacny ten człowiek należał do grona pracowników, z którego już mało kto pozostał, krzątającego się około obudzenia życia w kraju, gdzie je wszelkiemi tamowano środkami.

Pokój wam cienie! poczciwego towarzysza broni.

Korrespondencye.

Rzym, 10. Grudnia.

($\gamma\tilde{\eta}$). Od ostatniego mojego listu dość ważne zaszły tutaj wypadki. — Rząd włoski nie zmienił bynajmniej niesprawiedliwego i nieroztropnego swego systemu względem papieztwa; i owszém, o krok dalej posunął się na tej drodze. Encyklika Ojca Świętego, rzucająca klątwę większą na wszystkich, którzy bezpośredni lub pośredni udział wzięli w wyprawie rzymskiej, a *implicitè* i na króla samego, którego zresztą dość jasnémi wskazuje wyrazy, skonfiskowaną została nietylko w całych Włoszech, ale co ważniejsza w Rzymie samym, w urzędowym dziś organie Stolicy Świętej, w *Osservatore romano.* Nie przeszkodziło to wszakże rozejściu się Encykliki po całym półwyspie w przeszło 40 tysiącach egzemplarzy, licząc te dwadzieścia kilka tysięcy, ktore nadeszły z Genewy, gdzie publiczne jej wydanie ogłoszoném zostało, oraz kilkanaście tysięcy numerów rozlicznych dzienników, co ją zawierały i sekwestru ujść zdołały. Poufne zaś wydanie, wydrukowane w tajnej watykańskiej drukarni, było jedynie przeznaczone dla kardynałów mieszkających w Rzymie i dla ciała dyplomatycznego.

Niefortunny ten postępek władz włoskich wywołał osobny protest kardynała Antonellego do przedstawicieli obcych mocarstw, stwierdzający notę tegoż purpurata do nuncjuszów i internuncjuszów Stolicy Świętej w odpowiedzi na okólnik p. Viscontego Venosty. Okólnik ten rozsądny, umiarkowany, natchniony duchem prawdziwie chrześciańskim i liberalnym, zamykał na zawsze usta ultramontańskim rzecznikom i byłby nawet z góry pozbawił skargi kardynała, sekretarza stanu, wszelkiej podstawy, gdyby na nieszczęście postępowanie włoskiego rządu nie stanęło w zupełnej i rażącej sprzeczności z oświadczeniami ministra spraw zagranicznych. — Wszyscy światli i liberalni katolicy, nie wyłączając części kardynałów, prałatów i duchowieństwa rzymskiego, przyklasnęli byli z duszy okólnikowi p. Viscontiego Venosty, widząc w nim błogą rękojmię pożądanej zgody papieztwa z narodowością i jednością Włoch, tém bardziej, że ten jedyny znakomity mąż stanu, jakiego dzisiaj auzoński półwysep posiada, unikał w swojej nocie wszelkiej przymówki do zamiaru przeniesienia do Rzymu stolicy Włoch i zostawiał wszystkim nadzieję, iż gabinet włoski trafił nareszcie na jedyny wykonalny sposób rozstrzygnienia sprawy rzymskiej, na projekt wolnego miasta Rzymu z rządem municypalnym, połączonego z włoską ojczyzną federacyjnym węzłem, pod prezydencją Ojca Świętego, któryby panował, jak mu to przystoi ze wszech miar, ale by nie rządził. Ciż katolicy zostali więc mocno zasmuceni, kiedy czyny włoskiego rządu, a osobliwie tak bezczelne pogwałcenie swobody apostolskiego słowa, zadały kłam oświadczeniom pana Viscontego Venosty, nadały pozory słuszności i uświęcenie sprawdzonych wróżb i dokonanego czynu dość chwiejnym przez się rozumowaniom kardynała Antonellego, i usprawiedliwiły zupełnie narzekania i żółciowe łzy pism ultramontańskich, krzyki niepoprawnych stronników świeckiej władzy Papieży, którzy gwałtem chcą dla Ojca Świętego nie tylko monarszej niepodległości i królewskiego zwierzchnictwa nad samorządem municypalnym, jak to bywało w średnich wiekach i w nowszych nawet czasach (gdyż papieże dopiero od bardzo niedawnego czasu zostali absolutnymi monarchami), ale nadto królewskiej władzy w całém znaczeniu tego słowa, to jest wła-

dzy despotycznej, bez ograniczenia i kontroli, moskiewskiego samodzierstwa, z tajną policją, z tajnémi sądami, z samowolnością, z cenzurą, z cywilną władzą i osobnymi zbirami wikarjatu, ze szpiegostwem, z donosicielami jak stara pogańska Roma, z inkwizycją wprawdzie bez stosów, ale zachowującą staroświecką procedurę i więzienia tajne (*le segrete*); ministrami nieodpowiedzialnymi, z wojskową dyktaturą, ze zbrojnym fanatyzmem zuawów i najciemniejszych zagorzalców pięciu części świata, z tajemnicą będącą duszą całego zarządu i wszystkich spraw administracyjnych, z wiekuistym fałszem tych, co prawdy, szczerości i prostoty nauczać powinni przykładem i t. d. Niepoprawni ci ludzie chcieliby przywrócić cały ten spróchniały i zapleśniały gmach, którego niezliczonych skaz nie widać było w blaskach tiary postawionej na jego szczycie, lecz który sprawiedliwość Boża uznała za słuszne obalić dla dobra wiary świętej widząc, iż się sam poprawić nie umie, zmienić nie może i odrodzić nie chce.

Zapewne, że obalenie doczesnej władzy Stolicy Świętej naraża ją na znaczne niedogodności i niebezpieczeństwa, z których zwycięzko, da Bóg, wyjdzie; ale większém byłoby stokroć niebezpieczeństwem dla Kościoła i dla religji, gdyby doczesna władza papieży miała być przywróconą w pełni, bez zmian, bez ograniczeń, słowem w kształcie, w którym runęła.

Jednak rząd włoski nierozsądną swoją polityką w Rzymie usprawiedliwia zachcianki ultramontańskich szaleńców i ułatwia im zadanie. Zniechęcił ludność tak szczerym z początku zapałem ożywioną dla siebie, odprawiając kilkuset urzędników z ministerstwa finansów z połową emerytury, jaką im miniony rząd zapewniał lub nawet bez grosza wynagrodzenia, i zaniedbując pozyskać sobie prałatów, których Ojciec Święty wspomagać nie chciał, a którzy byliby chętnie przyjęli rządowe utrzymanie po utraceniu cywilnych dostojeństw. Natomiast jął się bawić w sekwestrowanie ultramontańskich dzienników i dzienniczków, którym jedynie chodzi o męczeńską palmę, za którą im komitety katolickie grubo płacą, tudzież w wyskrobywanie gołąbki Ducha Świętego na sufitach kwirynalskich tak jak potłukł był kamienną tarczę z najsłodszém imieniem Jezus na ganku kolegium rzymskiego. Zaiste, gdyby rządcy włoscy w Rzymie płatni byli i od dawnego rządu i od Jezuitów, nie mogliby zręczniej i udatniej działać na niekorzyść Włoch i na szkodę nowego porządku rzeczy.

Nie dziw więc, jeśli mocarstwa krzywém patrzą okiem na to, co się dzieje w Rzymie, i jeśli ich ukośne spojrzenia podsycają najskrajniejsze nadzieje reakcji.

Nadzieje te ożywiła i ośmieliła do najwyższego stopnia missja do Rzymu księdza Jana Koźmiana, który przyjechał tutaj z Poznania d. 28. Listopada i przyjęty był nazajutrz przez Papieża i przez kardynała Antonellego. Ks. Koźmian przybywał z depeszami od ks. Ledóchowskiego, zawierającemi relacją o podróży do Wersalu i siła pruskich obietnic dla Stolicy Świętej, a sama przytomność w Rzymie tak ważnej osobistości, dowodziła przez się niepospolitego znaczenia jego missji, ważności wiadomości i żądań, jakie przywoził od króla Wilhelma, a nadewszystko ścisłego sojuszu ultramontańskiego tygodnikowego stronnictwa z zaborcami Polski.

Pamiętamy jak srodze przeciw nam wystąpił niegdyś „Tygodnik“ i kleryk z polskiego seminarjum w Rzymie, pisujący listy soborowe do „Dziennika poznańskiego“, kiedyśmy pozwolili sobie powiedzieć, iż za prymasowską purpurą ks. Ledóchowskiego stoi hr. Bismarck z Carem, nie w sensie pochodzenia, ale w sensie kierunku.... Wypadki usprawiedliwiły twierdzenie, które nam za ciężką poczytano winę: w Wersalu purpura prymasowska podniosła się jak teatralna kurtyna, i obaczyliśmy za nią kanclerza niemieckiego w całym blasku zwycięztw, odniesionych nad Francją.... Poczekajmy jeno trochę, a ujrzemy cara oko w oko.... Wszak nikt rozsądny nie przypuszcza, aby między carem a hr. Bismarkkiem nie było ścisłego przymierza, a wiadomo zaś, że *les amis de nos amis sont nos amis.*

Missja ks. Koźmiana obliczona była na najgłębszą tajemnicę, a przyjaciele tutejsi, uprzedzeni telegrammem, oczekiwali na dworcu kolei i podwoili ostrożności, aby się żywa dusza nie dowiedziała o tajemniczym gościu, który wiózł przez *Via Paolina* pozdrowienie i nieocenione obiecanki do Watykanu. Odludna ta ulica stawała się do razu pocztowym traktem europejskiej dyplomacji, urzędowym gościńcem nadziei i szczęścia.... I jakżeż tu zaprzeczyć jeszcze, iż rząd pruski nie za pośrednictwem barona Arnima, ale przez księdza arcybiskupa poznańskiego, przez księdza Koźmiana i przez ich przyjaciół znosi się z Dworem rzymskim? Jest to snać u niego dawném nawyknieniem.

Nieszczęściem żelazna maska tego *incognito* nie mogła się utrzymać na obliczu posła, tak jak na twarzy słynnego francuzkiego więźnia w w. XVII., albowiem żyjemy o dwieście lat później, a natrętna publicystyka wkręca się wszędzie. Tą razą jednak ks. Koźmian zdradzony został przez przyjazne sobie dzienniki, przypuszczając nawet, jak zapewne „Tygodnik katolicki“ twierdzi w tej chwili, iż to p. Kulczycki podał w Rzymie czyli też przesłał z Terni do „Osservatore romano“, urzędowego organu watykańskiego, następny *entrefilet*:

„Zapewniają (*id est* p. Kulczycki), iż przybył do Rzymu sekretarz księdza Ledóchowskiego, arcybiskupa poznańskiego, wiozący nader zajmujące depesze, w których znajduje się sprawozdanie zabiegów czynionych przez tegoż księdza arcybiskupa przy JMci królu pruskim odnośnie do sprawy rzymskiej i zawiera się pomyślna odpowiedź, dana przez Jego Królewską Mość na adres, który ks. Ledóchowski złożył mu w Wersalu.“

Nazajutrz „L'Impartiale“, rzecznik najskrajniejszego ultramontańskiego stronnictwa, wydawany przez tak zwanych *caccialepri*, czyli polujących na zające, jak nazywają byłą *guardia urbana*, szumnie doniósł o posłuchaniu, jakie „poseł pruski“ miał u Papieża i u kardynała Antonellego.

Wieść ta elektryczną iskrą obiegła szeregi ultramontańskie, a inne dzienniki włoskie zaczęły odmawiać za panią matką pacierz, wyjawiając stopniowo treść missji ks. Koźmiana. Już skutkiem tych wyjawień, już dzięki niecierpliwej niedyskretności osób uczęszczających do Watykanu, poczęły wychodzić na wierzch najciekawsze szczegóły. „Unitá cattolica“ uderzyła we wszystkie dzwony na przybycie „pruskiego posła“, wiozącego przywrócenie doczesnej władzy Ojcu Świętemu; wpół klerykalna „Gazzetta d'Italia“ oznajmiła, iż zbrojna interwencja przyrzeczoną została ks. Ledóchowskiemu przez króla pruskiego, który atoli żąda w zamian za przyjacielską tę usługę od Ojca Świętego małego dowodu przyjaźni, to jest Encykliki do biskupów Alzacji i Lotaryngji, uświęcającą rozbiór Francji; ultra-klerykalny „Conciliatore“ neapolitański, miewający zwykle przewyborne co do dokładności korespondencje z Rzymu, doniósł (zapewne dowiedziawszy się o tém od p. Kulczyckiego), „że interwencja pruska zapewnioną jest w sprawie, że król Wilhelm w autografie swym do Papieża oświadcza się odważnym obrońcą prawa Bożego i prawa międzynarodowego, i że mają być zamianowani dwaj nuncjusze apostolscy w Berlinie i w Petersburgu (czy nie mieliśmy racji spodziewać się także cara w tej sprawie?)“ „Gazzetta d'Italia“ w zapale swego korespondenta rzymskiego do ks. Ledóchowskiego i do jego posłannika dodała jeszcze, — a rzadko się myli nawet w zapale, — iż król Wilhelm wyznał księdzu prymasowi, że przyrzec musiał królowi bawarskiemu, dla pozyskania jego przyjaźni, nietylko przywrócenie doczesnej władzy papieży, ale nawet powrót królowej Zofij i jej męża na tron neapolitański. Nakoniec urzędowy „Osservatore romano“, zamiast kłam zadać tym wiadomościom, potwierdził je zupełnie, nie wyjmując nawet uświęcenia rozbioru Francji, żądanego przez ks. Ledóchowskiego i ks. Koźmiana w imieniu p. Bismarcka. Dodał przytém wiadomość o nuncjaturze berlińskiej, na którą miałby być powołanym sam ks. Ledóchowski — z tytułem papiezkiego legata na całe Niemcy i o mianowaniu księdza prymasa kardynałem *in petto* przez Ojca Świętego za znakomite usługi.

Jeden z dzienników włoskich, „Il Corriere italiano“, podał życiorys księdza Koźmiana podług prywatnego listu z Poznania. Takim sposobem prasa włoska dowiedziała się o nazwisku „pruskiego posła“.

W okamgnieniu cała prasa włoska wszystkich odcieniów zaśpiewała na najrozliczniejsze tony o „pruskim pośle“ i o podróży księdza Ledóchowskiego do Wersalu. Włoski „Figaro“, sławny „Fanfulla“, jeden z najdowcipniejszych dzienników, ogłosił artykuł humorystyczny o księdzu Leodochowskim i o ks. Kozniani e (*sic*), podpisany przez Canelli (jestto zapewne pseudonim p. Kulczyckiego). Tytuł tego artykułu: *Finis Italiae.*

Dziś „Il Velocipede“ tutejszy podaje karykaturę, w której widać wszystkich reakcjonistów zgromadzonych u papiezkiego stołu. — Pośród nich ks. Koźmian z kieliszkiem w ręku wnosi zdrowie reakcji i woła *Morte all' Italia!* Nad nim zamiast gołąbki Bożej unosi się orzeł pruski w promieniach i pije najpierwszy ze wzniesionego kielicha. Dziwna rzecz, iż „Tygodnik“ nie wspominał nam nigdy o talencie do rysunku p. Kulczyckiego.

Ale żart na stronę, missja ks. Koźmiana wydała już pierwsze owoce swoje. Skrajne ultramontańskie stronnictwo, zagrzane tą missją jak winem, uczyniło onegdaj wielką demonstrację przed kościołem świętego Piotra. Nigdyby się tej demonstracji nie dopuszczono bez nadziei pruskiej odsieczy, tak ponętnie przyrzeczonej. Wywołała ona naturalnie przeciwny objaw ze strony włoskich liberałów. Oba stronnictwa spotkały się na ganku bazyliki. Nagle broń zabłysła ztąd i zowąd; dobyto sztyletów, siekierek o długiej rękojeści, rapirów, rewolwerów. Ultramontanie i liberały rzucili się wzajemnie na siebie ze wściekłością. Poczęto strzelać do siebie o dwa kroki i rąbać się jak na polskim sejmiku. Przyleciała rota

żołnierzy, by rozejm uczynić między zagorzalcami... kilku wyniesiono ciężko rannych, mówią nawet o jednym trupie. Dawny oficer papiezki Bersani ma głowę rozpłataną toporem; p. Oddi został pchnięty w ramię trójkątnym sztyletem; księdzu jakiemuś, którego, jak powiadają, zaniesiono do Watykanu, kula utkwiła w głowie. — Aresztowano wiele osób.

Zaiste nie można powiedzieć o „pośle pruskim“ jak on niegdyś w „Tygodniku“ o tak troskliwie i stokrotnie wspominanym przezeń p. Kulczyckim: *In vanum laboravit*....

Z Rumunji, d. 1. Grudnia 1870.

(*w. n.*) Znaczna część europejskiego dziennikarstwa mniema, że mara kwestji wschodniej, wywołana okólnikiem Gorczakowa, ustąpi i na teraz przed talizmanem zbiorowych not mocarstw przez Moskwę zaczepionych, i przed pojednawczém usposobieniem, jakiem w gruncie rzeczy mają być ożywione gabinet carski i Wys. Porty.

Tego rodzaju elukubracje dziennikarskie polegają albo na nieświadomości, a wskutek nieuwzględnienia obecnej chwili na zapoznaniu całej doniosłości poruszonej sprawy Czarnomorza, — albo na rozmyślném bałamuceniu opinji publicznej. Wprawdzie można jeszcze pojąć, że świat polityczny, przerażony okropnościami wojny franko-pruskiej, zamyka oczy przed nowém niebezpieczeństwem; trudno jednakże nie widzieć bijącej w oczy łączności między pierwszą a drugiem.

Zapewne, że przyjdzie czas, w którym przyszłe Niemcy będą zmuszone policzyć się z przyszłą Moskwą, i zakreślić orężem wzajemny ich do siebie stosunek; dziś atoli wystarcza jeszcze, tak Prusom jak i Moskwie dawna przyjaźń, zabezpieczająca wybornie rozwój współczesnych i bieżących interesów każdego z tych państw.

Kogóż nie zadziwi wystąpienie Gorczakowa w chwili ostatnich niemal tchnień Francij Napoleońskiej? Zdawało się kanclerzom prusko-carskim, że tryumfy jak Wörth, Sedan i Metz nie mogą jak tylko zakończyć się bliskim już tryumfem: upadkiem Paryża; skonem Francij; stypą nad jej zwłokami i — nowém katowstwém nad nową ofiarą.

Dziś, jeśli w jakichś dodatkowych i uzupełniających notach Gorczakowa niema tej stanowczości, jaką się odznaczał pierwszy jego okólnik, to kładziemy to jedynie na karb zachwianego chwilowo wojennego szczęścia krzyżaków i wynikającego ztąd przymusu odłożenia akcji na później; — żadną zaś miarą nie możemy w tém dostrzedz odstąpienia od celu, strzeżonego traktatem paryzkim.

Środki, jakie w tej przejściowej chwili przedsiębierze Moskwa, a które po kolei przejdziemy, nie uprawniają bynajmniej do tych pokojowych złudzeń, o jakich na wstępie wspomniałem.

Wewnątrz carstwa: demonstracyjne objawy uznania polityki zakreślonej kanclerzowym okólnikiem; zbrojenie się; kosztowne i mozolne ruchy wojsk o tej porze roku; gromadzenie sił nad granicą rumuńsko-turecką; fortyfikowanie wszystkich przystani morza Czarnego i Azowskiego; przeistaczanie floty kupieckiej na wojenną; zawieranie kontraktów liwerunkowych; — słowem szykowanie się do wojny na wielką skalę.

Na zewnątrz: Gra dyplomacji i uwijanie się tajnej ajentury na wszystkich punktach, gdzie tylko kwestja prawosławia i słowiańszczyzny jakikolwiek ma urok; — zapobiegliwe przygotowanie terenu w celu zapewnienia sobie pomocy pośrednich sprzymierzeńców.

W Rumunji frakcja dynastyczna służy swém destrukcyjném działaniem zarazem i pangermanizmowi i panslawizmowi; w skutek czego kraj zamiast stawienia czoła najazdowi Moskwy, znajdzie się w danej chwili w smutném położeniu i smutniejszej jeszcze konieczności zdania się na jej łaskę i niełaskę.

Bardziej dodatnie owoce swej kilkuletniej pracy propagandacyjnej zbiera Moskwa w Czarnogórze, Bułgarji i Serbji.

Pierwsza i druga są niemal w każdej chwili gotowe pójść na oślep za przewodem wrzekomych obrońców ich spraw przeciw tak zwanemu uciskowi tureckiemu; co zaś do Serbji, posłuchajmy n. p. co o niej pisze półurzędowy „Vidov-dan“: „Mylném byłoby mniemanie, że Serbja jest małém tylko państewkiem, dbającém tylko o siebie samego. Rzecz się ma zupełnie inaczej. Centralizująca siła naszej polityki nie leży na granicach politycznej, ale we wnątrz narodowej Serbji, rozpościerającej się daleko w półwysep bałkański. Naszém wyłącznćm zadaniem jest nie tylko utrzymanie dzieła z r. 1815., ale także podniesienie narodu serbskiego na Wschodzie według prawideł zachowawczych. Serbja jest państwem wschodniém, ma więc zadanie starać się o wolność i samoistność całego Wschodu; powinna zatém bronić wolności Serbów, Romanów, Bułgarów i Greków, gdyż wolność jednego z tych ludów jest nieodzownym warunkiem wolności reszty. Żywotny interes nasz zmusza nas do zawarcia wschodniego związku, w którym wolność i niepodległość każdej części będzie zabezpieczoną. Owe cztery narody są naturalnymi sprzymierzeńcami na Wschodzie, — dla tego też powinniśmy, bez względu na wszelkie ofiary, wziąść się gorąco do organizacji naszych sił wojskowych.“ (Zapewne nic słuszniejszego, byle tylko nie w tym celu, żeby je w końcu oddać pod naczelne kierownictwo carskich jenerałów.)

W tym samym duchu wyraża się także programm pseudo-rewolucyjnego komitetu bułgarskiego.

Wielokrotnie wspominano o Austro-Węgrach, jako o ważnym czynniku, mającym być przeciwstawionym Moskwie w razie wybuchu kwestji Wschodniej; — lecz czyż oceniono należycie w tym bilansie owe postępy, jakie w ostatnich kilku leciech uczyniła propaganda moskiewska wśród Słowian południowych, wśród Czechów, Sto-Jurców, a nawet Rumunów siedmiogrodzkich i bukowińskich?

Wszak dziś już dyplomaci, politycy, strategicy i taktycy petersburgscy wyliczając siły węgierskie, wykluczają z nich (jako swoich) Słowaków, Kroatów, Serbów, Rusinów, Rumunów a nawet Niemców(!) zaciągniętych w szeregi honwedów, i wyrokują: Być może, iż w wojnę z Moskwą rzucą się wściekle $2\frac{1}{2}$ miljona Polaków i 5 miljonów Madjarów; poradzi jednakże temu imponująca siła $6\frac{1}{2}$ mil. Czechów i Słowaków; $3\frac{1}{2}$ mil. Rusinów, $4\frac{1}{2}$ mil. Kroatów, Serbów i Słoweńców i 2 mil. Rumunów. — W dalszym ciągu tego zestawienia sił rachują moskalofile na indeferentyzm 9 miljonów Niemców austrjackich, i zapewniają, że $17\frac{1}{2}$ miljonów Słowian i Rumunów są w każdej chwili gotowémi poświadczyć czynnie sympatje swoje dla naturalnej opiekunki przyszłej Słowiańszczyzny! (?)

Są to bez wątpienia napuszone i zbyt przesadne przechwałki, — lecz i one powinne zwrócić uwagę austro-węgierskich mężów stanu na grożące państwu niebezpieczeństwo i pouczyć, jakiemi środkami, w kim i gdzie należy szukać zbawienia.

Zauważyłem także, że wiadomość podana przez niektóre dzienniki o zakupionych przez Moskwę wojennych okrętach amerykańskich, i o ich zbliżaniu się do Dardanelów i Bosforu, trafia na niedowierzanie. Okoliczność ta zasługuje jednakże na baczniejszą uwagę; bo nie kusząc się nawet o zbadanie tajników wysokiej polityki, i odgadnięcie istotnego stosunku połączonych Stanów Ameryki względem Moskwy, — nie podobna pominąć milczeniem missji jenerała Sheridana do Konstantynopola właśnie w chwili dyplomatycznej kampanji między Wys. Portą a Carskiém Siołem....

Takim jest obraz obecnego położenia, oświecony światłem Północy-Wschodu; — jakim się zaś wydaje na Południu-Zachodzie, i co w nim jest rzeczywistością a co złudzeniem, — ocenienie nie do mnie należy.

Z Rumunji, d. 8. Grudnia 1870.

(*w. n.*) Otóż nadszedł już czas, w którym neutralne mocarstwa, a w pierwszym rzędzie Anglja i Austrja zbierają pierwsze owoce swej dotychczasowej polityki; doczekawszy się tego, że Prusy nienasycone tryumfami militaryzmu, zapragnęły i utrzymały się przy pierwszeństwie także i na polu dyplomacji.

Być może, że ks. Gorczakow pośpieszył się nieco z wyciągnięciem ręki po nagrodę za zachowanie się Moskwy podczas wojny; w każdym jednak razie nie podobna już wątpić, że ową nagrodą była swoboda działania na Wschodzie; mniejsza o to, czy przyrzeczona w Ems, czy też później lub wcześniej.

Jeżeli kto utrzymywał, że chwila wystąpienia Moskwy była dla Prus niedogodną, i wnioskował ztąd na możliwe irolowanie pierwszej, lub nawet na stawianie przeszkód ze strony drugich, ten przekona się łatwo, że Bismarck nie uczuł się, a przynajmniej nie okazał się zażenowanym niedokończoną akcją orężną, postawieniem zaś przyjętego projektu kongresu *ad hoc* dowiódł, że praktyczne zastosowanie zasady: *haec facienda, allia non omillenda* robi go znowu wyłącznym panem sytuacji.

Punkt ciężkości kwestji wschodniej został wprawdzie przeniesiony na teraz z jej naturalnych granic do Wersalu i Londynu, niemniej przeto nie powinny być wiadomości, jakie ztąd podać mogę, bez pewnego interesu.

Turcja, zdawszy się pod opiekę gabinetów londyńskiego i wiedeńskiego, zbroi się i rozbraja stosownie do faz, przez jakie przechodzi akcja dyplomatyczna wrzekomych jej sprzymierzeńców.

Rujnując się na polu finansowém widzi zarazem, jak propaganda panslawistyczna podkopuje jej byt zwolna wprawdzie, lecz systematycznie i z tém większą nadzieją pomyślnego skutku.

Oto, co wśród mnóstwa innych pisze n. p. „Srbski Narod.“: Uciemiężone ludy Turcji spoglądają na Serbję. Skoro się odezwie huk dział nad Czarném morzem a kozacy przekroczą Prut i Dunaj; wtedy mści-

ciele Kosowa wystąpią nad Timokiem i Driną; Bośnja i Hercogowina pochwycą za podaną im dłoń wolności; z radością porwie Czarnogórzec wierną swą strzelbę, a Grecy, Bułgarzy, Rumuni pójdą ochoczo w sojuszu z słowiańską swą bracią na święty bój z dziczą turecką. Serbia jest świadomą wielkiego swego zadania; mężowie, którzy nią rządzą, zapiszą się chlubnie w dziejach ojczystych; oni to wyniesą księcia Milana na tron królewski."

Jeśli mocarstwa reprezentowane na zaproponowanym kongresie chcą rzeczywiście bądź co bądź uniknąć wojny, to spełnienie żądań Moskwy co do unieważnienia art. XIV. traktatu paryzkiego można już dziś uważać za fakt dokonany; — że się jednak na tym jednym artykule nie skończy, to więcej jak pewna. — Artykuł „Gołosu" pozwala nam przewidywać, jakie skutki pociągnie za sobą pierwszy szczerb w przedmurzu, wzniesionem ofiarą i poświęceniem bohaterów wojny krymskiej. — „Dajmy rządowi — prawi „Gołos" — pieniędzy na postawienie floty na morzu Czarném. To hasło nasze, a brzmi ono niby modlitwa na ustach wszystkich wiernych poddanych Cara; — spotykamy takowe we wszystkich dziennikach, — w każdej warstwie społeczeństwa naszego. Nie podlega żadnej wątpliwości, że w kilku miesiącach znajdą się miljony na ten cel; to też przedsięwzięto już w Mikołajowie wszelkie środki, ażeby olbrzymiemi siłami wziąść się do budowy floty, a uzbrojenie brzegów morza Czarnego zostało już nakazane. Kercz, fortyfikowany od lat czternastu, przedstawia dziś drugi Sebastopol, a i Sebastopol sam powstaje z gruzów. W Eupatorji, które to miejsce będzie wkrótce twierdzą pierwszego rzędu, założono ogromny arsenał. Mamy słuszność po naszej stronie twierdząc, że żądamy teraz tylko *minimum* tego, czego żądać mamy prawo, i o co też w samej rzeczy wkrótce się upomnimy. Bez zachodnej Bessarabji nie możemy się obejść, równie jak niezbędne są dla nas ujścia Dunaju.

Niezależnie więc od rokowań dyplomatycznych, kroczy Moskwa nieprzerwanie po drodze, mającej zaprowadzić ją kiedyś do Konstantynopola. Z jednej strony podnieca i wyzyskuje rozdrażnienie Słowian, z drugiej gromadzi środki i siły ku skutecznemu poparciu swej tradycyjnej polityki.

Z Gałaczu, połączonego ciągłą wodną komunikacją z Odessą, donoszą: Starania i zabiegi w celu jak najśpiesznieszego wypuszczenia floty na morze Czarne, nie ustają, a Moskwa zbroi się gwałtownie, pomimo wszelkich urzędowych zaprzeczeń. Do Bessarabji pędzą coraz to nowe wojska tak, że pomieszczenie tychże nastręcza już pewne trudności. Dla zapobieżenia temu, sprowadzają z Odessy do Kiszeniowa drewniane baraki. Tymczasowym naczelnym dowódzcą południowej armij jest jenerał-adjutant Kotzebue. Znaczne summy wpływają z dobrowolnych składek; szarpie i bandaże nadchodzą do Odessy w licznych transportach, a wszędzie tworzą się stowarzyszenia filantropijno-patrjotyczne w celu niesienia pomocy rannym i rodzinom poległych.

Szczegóły te podaję Wam z zaręczeniem za ich prawdziwość, a na podstawie tychże osądźcie już sami o ile uzasadnionemi są nadzieje pokoju?

(Mamy więc już dwa królestwa *in spe:* rumuńskie i serbskie. Przypisek korespondenta.)

Z dziennika francuzkiego oficera.

(Dokończenie.)

27. Sierpnia. Trzy godziny spoczynku w Alleux i powrót do Voncq. Sądziliśmy że nas nieprzyjaciel napadnie, kazano nam postąpić naprzód, tak aby ruch ten odpowiedział posunięciu się armji, przybywszy do Alleux zatrzymaliśmy się przez godzin trzy, i dostawszy języka że nieprzyjaciel nas nie zaatakuje, wracamy na obozowiska z d. 26. Czas stracony; kiedyż się połączymy z Bazainem, jeśli tak iść będziemy i wracać — lękać się trzeba, by nieprzyjaciel czujniejszy nie połączył swych wojsk i nie zdusił nas. — Maroderów więcej niż kiedy, — niekarność! niekarność!

28. Sierpnia z Voncq do Chène populeux. Czas okropny. Zrana nadzwyczajne zdziwienie nasze, gdyśmy posłyszeli przed strażami przedniemi naszemi strzelanie dosyć gęste i żywe, i kilka wystrzałów z dział. Nie tylko nasze przednie straże nie wiedziały o obecności jazdy o dwieście metrów przed niemi wysuniętych, ale też i o nieprzyjacielu. — Rzecz prawie nie do wiary. Do czegoż służy cała jażda nasza? W krótce potém dają nam wiedzieć, że się ukazała jazda nieprzyjacielska z dwoma działami polowemi, mówią że się cofnęła. — Dokąd? pytamy się wszyscy i czy to armja idąca przeciwko Paryżowi, która się nam zjawia... Pięknie byśmy wyszli. — Władze wojskowe zdaje się to mało obchodzić zkąd się jazda wzięła i dokąd się udała.

Przybywszy do Chène populeux, dowiadujemy się znowu, że jazda owa ranna idzie za nami w ślad, że zapaliła Voneq, wioskę w której staliśmy. Wiadomość ta pochodzi od mieszkańców, a nie od naszej jazdy, która chciałaby iść — ale... dla czego nie idzie? niewiadomo. Postanowiono przecież dać straż tylną za wojskiem, co nam oznajmuje, że musiemy mieć nieprzyjaciela i za sobą i przed sobą. Jak się to wszystko skończy? W Chène populeux byłem świadkiem wypadku niesłychanego. Żywność naszą zrabowali nasi właśni żołnierze pod okiem starszyzny, i nikomu nawet na myśl nie przyszło, surowy dać przykład sprawiedliwości. Muszę jednak dodać, że jenerała Duero nie było podówczas, znajdował się na przedzie z pierwszą i drugą dywizją. Nasz jenerał dywizji miał odwagę wybrać się na wygodny nocleg do miasta. — Jeśli nieprzyjaciel nas tej nocy napadnie, kto będzie rozkazywał? Zamiast ściągnąć zapasy owsa siana i wydzielać je porządnie, dozwolono każdemu brać co chce, wiele koni i mułów nie ma paszy.

Dnia 30. Sierpnia. Czwarta dywizja, nasza wyznaczona do osłony naszego marszu do...... nie wiadomo naprzód czy w tył, bo pewna jest ze mamy wojska przed i za sobą. Na drodze z Chène populeux do Roncourt (gdzieśmy nocowali dnia 29.) trzeba przebywać kanał. Można było ped piechotę do przewozu użyć wielkich bark, któreśmy tu znaleźli, a most postawić pod artylerją, dla uniknienia zamieszania przy przejściu. Nieporządek był taki, żeśmy tu zapomnieli i rzucili 50,000 racji żywności.

29. Sierpnia Roncour. Przybywamy o północy. — Cesarz z nami. Po bardzo przykrym marszu za pociągiem bagażów długim na dwanaście kilometrów, nasza brygada pod komendą nowego jenerała p. Carré de Belmare, człowieka energicznego i roztropnego, o północy przybywa do Roncour. O drugiej z północy rozdają żywność. Musiemy ją brać szturmem. Byłem przy rozdawaniu, zmuszony gwałtém dwa wozy chleba porwać, aby memu pułkowi dać jeść. Nieład, a przecie Cesarz i Cesarzewicz są z nami.

30. Sierpnia. Przejście przez Meuse w Remilly, odpoczynek w Carignan. Przejście rzeki w porządku, przynajmniej nasza dywizja uskutecznia. W Remilly dowiadujemy się, że w Roncour, gdzieśmy byli 29. biją się, dowiadujemy się też iż na przedzie biją się również, i nieco w prawo w Mouzon... Głowę trzeba stracić! O drugiej godzinie o kilka kilometrów od Carignan dowiadujemy się, że korpus jenerała de Failly został napadnięty i rozproszony. — Mówią że jenerał Leboeuf trochę poprawił sprawę. Wszędzie toż samo, jenerałowie ze sztabami licznemi ale nie ciekawemi — po miastach i po wsiach, a wojska opuszczone w obozach. Jazda jak przedtém tak teraz nie wysyła na zwiady, nie jej to wina że iść nie każą. W Carignan potwierdzają się złe wieści, mieszkańcy stracili odwagę i myślą uchodzić. Cesarz ma być w rozpaczy. Cała noc w niepokoju, żywności nie rozdają.

31. Sierpnia. Givonne. Nigdy, pókim żyw, dnia tego nie zapomnę Nieszczęśliwi wieśniacy nasi opuszczają wioski z żonami i dziećmi, wlokąc za sobą trochę ocalonych rzeczy, ciągną ku Belgji. Widok smutny i bolesny. Jenerałowie, którzy ztąd słyszą huk dział nad Meusą i spodziewać się mogą że wkrótce staną też do boju, — jenerałowie ci dozwalają się pułkom naszy rozpraszać i bandami po rozerwaniu zapasów żywności, uchodzić do Belgji. Kazałem od tych łajdaków odebrać gwałtem 50 bułek i rozdać mojej kompanji Inni wprost po drodze zostają sobie po wioskach, znajdując że ich droga znużyła. Nie ma co mówić że ładnie. Widziałem wozy artyleryjskie pełne głów cukru i beczułek z jakiemiś trunkami. Część naszych ludzi od konwoju zachwycona przez jazdę nieprzyjacielską. Nie do wiary w istocie.

Wreszcie po kilku popłochach i wielu ruchach mało nam zrozumiałych, przybywamy o 8 wieczorem na równinę Givonne o kilka tysięcy metrów od Sedanu. Żywność nie dają, bo jej niema. Część w Carignan rozchwytali marodery, resztę zabrali uciekający już w Sedanie — od 15 do 20,000 racji. Kładniemy się spać pewni że jutro będziemy mieli do czynienia z nieprzyjacielem — ale ufności mamy mało.

1. Września. O świcie słychać wystrzały ręcznej broni, przednie nasze straże w żywej utarczce, rozkazów nie odbieramy, jednak wszyscy się gotują, zapomnieliśmy o złych przeczuciach dni poprzednich, zabierając się do spełnienia obowiązków naszych. Bataliony stały jedne za drugiemi, wiele czasu upływa nim się rozwinęły. Artylerja z trudnością dobywa się z tłumu i zajmuje pozycje. Tymczasem bomby nieprzyjaciela nadlatują. O siódmej bitwa na całej linji — nieprzyjaciel naciska. Dowiadujemy się że marszałek raniony (godzina 7 minut 42), jenerał Duero obejmuje komendę, czujemy że całe wojsko niemieckie mamy za sobą i że musiemy, póki czas jeszcze, się cofać. Dają rozkaz artylerji usunięcia się

w tył na równinę Illy, (mocna pozycja zapewniająca nasz odwrót ku Mezières). Piechota cofa się eszelonami, mając w obronie kilka kartaczownic. Ruch ten już się dobrze rozpoczął, gdy przybyły jenerał Wimpfen pokazuje rozkaz Napoleona, powierzający mu główne dowództwo. Jenerał Ducro usuwa się a sztab zapytuje czy ruch ma iść w tym samym kierunku. Na to odpowiada Wimpfen — Nie! zwycięztwo nasze pewne, trzeba bądź co bądź iść naprzód.

Od tej chwili rozpoczyna się straszliwa klęska tego dnia nieszczęśliwego, piechoty ile zostało na placu, i trochę artylerji, wystawione na straszliwy ogień nieprzyjacielski. — Szukają jenerała głównodowodzącego aby mu powiedzieć żeby artylerję która ustąpiła zawrócono, znaleść go nie można. Z drugiej strony ruch nieprzyjaciela oskrzydlającego nas coraz wyraźniej się czuć daje, wojska brak aby mu zapobiedz. Godzina jedenasta, jenerał naszej dywizji ranny, jenerał pierwszą brygadą komenderujący padł także, drugiej (naszej, Carrè de Belmare) trzyma swych ludzi w miejscu, ale pułki linjowe całkiem się rozbiegają, mimo usiłowań dowódzców.

O pół do drugiej, wytrzymać już nie podobna, otoczeni jesteśmy ze wszystkich stron, nakazują odwrót, a że głównodowodzącego niema, wszyscy biegną sami niewiedząc jak w kierunku Sedanu. Jazda po kilku natarciach odważnych idzie za piechotą, popłoch niesłychany, wszystko się tłoczy, rozbija, konie, ludzie, wozy, by co prędzej ujść, d o k ą d? w fossy twierdzy Sedanu. — Okropn.e — Kiedy niekiedy spotykają jenerała, który usiłuje wojsko zawrócić i przedrzeć się przez linje nieprzyjacielskie, ale że nieład wielki, nic się udać nie może. Wojsko zgubione, jeśli sam Napoleon nie wyjedzie konno, i nie poprowadzi na czele armji ku Mezières. Spadkobierca bohatéra powinien spełnić swój obowiązek. O godzinie 6. cała prawie armja jest już w Sedanie, i tu się dowiadują, że część naszej artylerji, która wczoraj weszła do miasta, zrana stę z niego wydobyć nie mogła, dla ścisku... O godzinie 6. wywieszono białą chorągiew na twierdzy. Pierwszego człowieka co ją chciał zatknąć, zabili żołnierze, drugi dostał się cały.... Zgodzono się na rozejm do jutra do 9. godziny... W tym czasie Napoleon... którego pamięć przyszłe pokolenia odpowiedzialną za to uczynią — podpisać kazał jenerałowi Wimpfen najbezwstydniejszą kapitulację.

W imieniu oficerów i żołnierzy armji Sedańskiej, wypieramy się wszelkiego udziału w tym sromotnym czynie, i ręczę, że gdyby Napoleon miał był odwagę stanąć na czele wojsk, ocalił by ich część przynajmniej. Lepiej było 20,000 ludzi stracić, niż wszystkich zbezcześcić — i ojczyznę zgubić.

Nowe Książki.

Rocznik ces. król. Towarzystwa naukowego krakowskiego. Poczet trzeci. Tom XVIII. (Ogólnego zbioru tom XLI.) Kraków 1870. 8. str. 453.

Na te czasy stagnacji powszechnej i milczenia, miło się spotkać z takiemi dowodami czynnej, niezmordowanej pracy, jakie daje Towarzystwo naukowe krakowskie. Choćby nań sarkano za to i owo, jak to się już trafiało, choćby komu coś miało nie przypadać do smaku pracy i życia, które dziś mało kto ma — odmówić niepodobna. A gdzie życie jest, wszystko będzie. — Jedyne to naukowe Towarzystwo polskie, dzięki Uniwersytowi, który ma pod bokiem, który acz oddzielony od niego wpływa nań silnie, — krzepko się biorące do pracy i nieustające w niej. — W dwóch szczególniej kierunkach, przyrodoznawczym i historycznym, owoce jej widoczne. Mało tylko i zawsze za mało rozpowszechnione są Roczniki, boćby je z obowiązku wszystkie stowarzyszenia akademików polskich mieć powinny, wszystkie zamożniejsze biblioteki, wszyscy ludzie których u nas nauka a postęp w niej obchodzą. Wiemy to wszakże ze smutnego doświadczenia, iż trudno się ich gdzie dopytać.

Tom ten swą treścią bardzo jest zajmujący i w innych czasach do nie jednej polemiki a uczonych rozpraw dostarczyłby obfitego materjału, pod te czasy nieszczęśliwe kogo co obchodzi. Zawsze ta polityka złowroga zjada u nas wszystko, a powiedzieć sobie nie umiemy, że tej nienasyconej potworze rzuciwszy na pastwę parę Mannów, Szukiewiczów, Dobrzańskich, Smołków i drobniejszych istot, mogłaby reszta wyśmienicie ujść jej paszczy i czém inném się zajmować. Ale — gorące czasy, piecze pod bok polityka, że trudno nie wisnąć. Wróćmy wszakże *ad templa serena*, do Rocznika.

Na czele jego stoi rozprawa Dr. Antoniego Mierzyńskiego. J a n Ł a s i c k i, ź r ó d ł o d o m y t o l o g j i l i t e w s k i e j. Jest ona krytycznym rozbiorem wartości tego, co z opowiadań p. Laskowskiego, wielkiego bałamuta, jak się zda, napisał o bożkach litewskich Łasicki. Dr. Mierzyński prześledził żywot i sprawy Łasickiego, rozebrał jego podania i doszedł do ciekawego, oryginalnego, nie bez zasady, wniosku, iż tendecyjny Łasicki, nowinkami nakarmiony, kościoła katolickiego nienawidzący, po to tylko litewskich bożków szukał, ażeby niemi katolickich świętych zbezcześcił...

Tendencja ta w Łasickim odkryta, wskazaną jest tutaj po raz pierwszy, acz pomysł z niemieckich studjów i badaczów, których niepomiernie miłuje, wydobył Dr. Mierzwiński. Któżby uczonym tym, tak znakomitą opatrzonym metodą, zasługi przeczył? Tak się wszakże w nich kochać jak autor rozprawy, zaprawdę trudno. Godzim się na jego postrzeżenia i szczelne krytyki, acz ten ton całej rozprawy, niesmaczny, niby dowcipny, wyrokujący *ex cathedra*, psuje rzecz samą. Niedodaje to okrasy treści, ani ją wzmacnia. Znajomość języka litewska bliższa, filozoficzne wykształcenie, znamionują pożyteczną tę robotę Dr. Mierzwińskiego, za daleko w niej wszakże idzie, sądząc że Laskowski z Łasickiego drwił, a Łasicki tylko przeciwko wszystkim świętym wojował. Wielu bożków porzucano z piedastałów bez przyczyny; boć nawet ów *Pizio* istnieć mógł, *mutatis mutandis*, a z a p i e c e k, że bywał siedliskiem bogów, gdy ci jeszcze się po świecie kręcili, wszystkim wiadomo Najmocniej przeciwko autorowi świadczą własne jego badania, z których się, jak kroniki Wołyńskiej zacytowanej n. p. okazuje, iż Łasickiego nazwiska bóstw, z innych źródeł się potwierdzają. Ale zamachnąwszy się na cały Olymp Łasickiego, radby wszystko wywrócił szanowny autor — młodości to krewkiej zwykłe.

Ani Laskowski tak polował bardzo, ani Łasicki samej przekory katolicyzmowi na celu nie miał. przypiął łatkę przy zdarzonej okoliczności, a Laskowski że języka nie umiał dobrze, często mimowolnie coś zbredził. Rachować też coś należy, tak ściśle krytykę wiodąc, i na przepisywaczy, i na druku omyłki.

Zawsze praca tak sumiennie przebijająca się w nierozpatrzonym materjale, zasługę ma i pożyteczną będzie. Byliśmy jedni z pierwszych, co na studja języka litewskiego dla historji Litwy wskazywali. A choć naszą robotę mało ceni p. Mierzwiński, o co się nie sprzeczamy, niech w naszej obronie przeczyta co Daniłłowicz nam przyznał, żeśmy pierwsi kronikę Dymitra Mnicha w Stryjkowskim wynaleźli i wykazali. Więc to choćby Bóg zapłać, warto.

Dr. Mierzwiński uniósł się i poszedł za daleko zamykając swą rozprawę, nie trzeźwym wyrokiem:

„Monografia Łasickiego, wykazać nam jeszcze jaśniej może, że tutaj mamy do czynienia z bandą literackich fałszerzy(?), którzy zdołali przez trzy wieki, dzięki naszej obojętności względem języka litewskiego, uczonych ludzi oszukiwać.“

Trochę grubo i bodaj nie przyszło nawrócić potém.

K o m i s y j a e d u k a c j i n a r o d o w e j a r a d a s z k ó l n a k r a j o w a, przez prof. Stanisł. Zarańskiego, artykuł drugi, jużeśmy tu rozbierali, przy pierwszém jego litografowaném wydaniu, do tego sprawozdania więc odsyłamy czytelników Praca wielce się zalecająca, a gorącą żądzą dobra publicznego natchniona. Rada szkolna... zresztą osądzoną została i przez kompetentnych i głosem opinji publicznej. Trudno też od wydziału kancelarji namiestnictwa wymagać, żeby narodowej instytucji sprostała. Odwołujemy się do Rachunków 1867 r., gdzie jej te losy przepowiedziane zostały, z samej uchwały, co ją stanowiła.

Do niewielkiej liczby naszych glossarjów przybywa pożyteczny dla przyszłego Lindego, S ł o w n i k p r o w i n c i o n a l i z m ó w p o d o l s k i c h Dr. A. Kremera. Wiele tu rzeczy ciekawych, acz niekoniecznie podolskich wyłącznie; wiele nieznanych wcale, a jako żywe nie zaszczyconych dotąd drukiem. Należałoby osobne odbitki, tej nader pożytecznej pracy, przenoszącej z żywego języka na papier, nowy materjał — uczynić. — Brak nam miejsca, by się tu o parę drobnostek posprzeczać. Tak samobyśmy, uznając ważność rozprawy Dr. F. K. Skobla „o z e p s u c i u j ę z y k a p o l s k i e g o w d z i e n n i k a c h i w m o w i e p o t o c z n e j, o s o b l i w i e w G a l i c j i“ i z nią się nieraz posprzeczali, bo niekoniecznie z niemieckiego wzięto, co na niemieckie zarywa i nie zawsze przeciwne duchowi języka naszego, co się rodzi i schodzi z niemieckim. — W ogóle rozprawa ta nietylko co tydzień czytaną by być powinna publicznie, ale w tysiącach egzemplarzy rozpowszechnioną i „s i ł ą u ż y c z o n e g o j e j g w a ł t u u r z ę d o w e p o“ uczyć by się jej na pamięć nakazać należało kandydatom do nieustającej bazgraniny po dziennikach i innych miejscach niechlujnych.

Głęboka znajomość natury języka, nader trafne poczucie jego, znamionują tę pracę Dr. Skobla, która, jeśli się nie mylemy, jest już drugą w tym rodzaju w Rocznikach, bo pierwszą (*ni fallor*) była Dr. Oettinger'a?? Lepiej jest w troskliwości o nasz macierzysty spadek czasem gorliwością przesadzić, niż nią niedopisać. Poczwarne tu przywodzą się wyrażenia, ale, niestety, wszystkim nam dobrze znane. Nasłuchaliśmy się ich i najedli do syta, tak, że w końcu przestały razić nawet.

Można się i zabawić i nagryźć czytając Dr. Skobla, a że się to z wielkim czyta zajęciem i nie bez żartu, na wielkie rozpowszechnienie zasługuje, niema najmniejszej wątpliwości. — Czy to co jednak pomoże? dopóki w osiemnastym roku nieskończywszy szkół, studenci się na dziennikarzy przedzierzgać będą, jak skoro im ławka szkolna obmierznie.

Sprawozdanie towarzystwa o nagrodach z fundacji naukowej ks. J. R. Lubomirskiego, o którém obszerniej już rozpisaliśmy się, — wchodzi także w skład rocznika. Nic w tym przedmiocie nie mamy do dodania, oprócz iż Towarzystwo, jak się teraz dowiadujemy, do wyrozumienia woli testatora miało skazówki, które tak a nie inaczej wykładać ją zniewalały. Zapytywano nas, kogożbyśmy my na miejscu hr. Stadnickiego postawili. — Odpowiedź trudna, ale zdaniem naszém D z i e j e P o l s k i p o r o z b i o r o w e j T. Morawskiego, najsłuszniej na nię zasługiwały. Godziło się też w sprawozdaniu choć napomknąć, bodaj z krytyką, o pracach K. B. Hoffmana, o r e f o r m a c h w P o l s c e i p a n s l a w i z m i e z a c h o d n i m.

Ostatnią rozprawą mieszczącą się w Roczniku jest Dr. Izydora Kopernickiego „o d z i e ł a c h J a n a z G ł o g o w a m a j ą c y c h s t y c z n o ś ć z a n t r o p o l o g i ą.“ — Idzie w niej o oną sławną czaszkę narysowaną w dziele Jana Głogowczyka, na której oznaczone były organa mózgu, co dało powód do pośpiesznego a nierozważnego po naszych pismach wysławiania go jako pierwszego kranioskopji wynalazcę. Nikt, jak to u nas bywa, nie poszedł nawet do książki, boć ta wprawdzie rzadką jest,

— powtarzano za Dr. Soczyńskim i Dr, Bałwańskim (sic), iż Galla ziomek nasz wyprzedził.

Pierwszy M. Wiszniewski i Dr. Majer wykazali przesadę i niedokładność w tém twierdzieniu, a Dr. Kopernicki z porównania współczesnych Głogowczykowi komentarzów nad Aristotelesową księgą — *De anima*“ wykazał, iż pomysł tej czaszki nie przynależy naszemu uczonemu, który tylko za innemi w tém poszedł. Sam bowiem Jan Głowczyk nie za swoje to podaje, ale przywodzi Gordona lekarza, a rysunek podobnej czaszki z oznaczeniem siedlisk, pamięci, rozmysłu, rozsądku, obraźni i wyobraźni znajduje się w anatomji Mundiniego i Margaritta philosophica Hundt’a. Ważniejszém nad to sprostowanie jest ocenienie z innych względów Jana Głogowczyka przez Dr. Kopernickiego, który komentarzom jego niepospolitą na swój wiek wartość, dialektykę i erudycję przyznaje.

Sprawa to tedy rozsądzona, a nie wychodzi na niekorzyść profesora, który co mu nauka najnowszego podawała zużytkował i nie jedno zdrowe rozszerzył pojęcie. Choć nie stanie obok Vitelliona i Kopernika, poczciwe mu miejsce między uczonemi swojego czasu należy.

Tyle o Roczniku, który i mniej nawykłym do poważniejszych rozpraw ludziom, zalecić możemy, boć wiele przystępnego a wielce pożytecznego zawiera.

J. I. Kraszewski.

Rozmaitości.

— **Nowe obrazy Walerego Eljasza z Krakowa.** Doszła nas fotografia kilku prac malarza, który niezmordowaną pracą dobija się uparcie mu odmawianego uznania na jakie zasługuje. — Z boleścią przychodziło nam nieraz czytać krytyki nieuzasadnione, niechętne jego pięknych kompozycji, natchnione jakiemś niezrozumiałem uprzedzeniem. Eljasz pomimo to z każdym dniem, z każdym obrazem nowym rośnie nam i silniej przekonywa o swym niepospolitym talencie. Jako rysownik i jako malarz czyni zaszczyt krakowskiej szkole, w której swe studja skończone w Monachjum, rozpoczął. — Główną z nowych kompozycji Eljasza, znacznych rozmiarów jest Obrona Krakowa przeciw Szwedom, w r. 1655. Artysta przedstawił Stefana Czarnieckiego obchodzącego mury na których się bój toczy, w chwili kiedy mu dziatwa krakowska szwedzkie kule pozbierawszy znosi je, dla użycia przeciwko nieprzyjacielowi. Na głównym planie stoi piękna, poważna, a smutna postać Czarnieckiego. przy nim na prawo rycerski Krzysztof Wąsowicz pułkownik dragonji, w lewo Jędrzej Cieniowicz burmistrz krakowski, Mikołaj Gnoiński pułkownik piechoty, a głębiej nieco Aleksander Płaza wielkorządzca zamku krakowskiego. Figury te silnie wychodzą na tle bardzo pięknie pomyślaném baszt i murów Krakowa, na których widać mieszczan broniących się nieprzyjacielowi. Na przedzie obozu pięciu żaków, z których jeden podstępuje ku Czarnieckiemu z kulą w ręku, zachodzą drogę Hetmanowi. Fotografia nie dozwala nam sądzić o niczém więcej oprócz pięknej bardzo kompozycji i siły z jaką grupa głównie wychodzi. Możebyśmy w chłopakach przynoszących kule, więcej rozmaitości, typów ludowych i swobody ruchu żądali, lecz w pojęciu artysty znać głównym był Czarniecki i grupa dzieci poświęconą mu została. Niepospolitą trudność stanowiło tło obrazu, pełne życia i ruchu, prześlicznie skomponowane a jednak nie odbierające pierwszemu planowi jego wagi i znaczenia. Jest to z pewnścią jeden z najpiękniejszych Eljasza obrazów. — Dwa pomniejsze rodzajowe wyobrażają Górali w Tatrach, których Eljasz tak doskonale zna i rysuje, Wyjazd z chat na jarmark i powrót z jarmarku. W pierwszym z nich typy góralskie wybornie schwycone, w drugim celuje górski pejzaż z wielku prawdą oddany. — W obu pierwsze plany są z natury i wiernie odwzorowują charakterystyczne kamieniste tatrzańskie ścieżyny.

Pisma niemieckie wspominają z pochwałami o obrazie Gierymskiego, zimowy pochód (powstanie 1863 r.) — Jest to powstańczy oddział przebywający rzekę, z wielkim ustawiony i malowany artyzmem.

— **Jeszcześmy niemieli zręczności** obszerniej się rozpisać o rozprawie Bersohna, która wyszła w Warszawie o Wicie Stwoszu, a jużci druga w Cieszynie się ukazuje o tymże, a raczej o ołtarzu Św. Jana u Św. Florjana w Krakowie (bezimienna). P. L. Siemieński w 280 Nr. Czasu oświadcza się zupełnie zadowolnionym i znajduje ją umiejętnie, przez znawcę skresloną. — Obok tego oto dziś właśnie wpadamy nawet w Kurjerku Warszawskim na Stworza i jego prace (jakoby w Bardjowie.)

Ogólne jakieś tym mistrzem zajęcie już by też pożądaną czyniło jego wyczerpującą i ze znajomością źródoł wszelkich, skreśloną bijografji. — Przypominamy że po Grabowskim który pierwsze podał wiadomości, przejął z daleko obfitszym zasobem i krytyką przedmiot ten prof. Łepkowski, który i w Krakowie badał go od lat wielu, i po Rastawieckim wziął obfity materjał, i z pomocą Beadera i Lochner’a, Lübkego zgromadził co gdzie się pozbierać dało o Stwoszu.

Czas tedy, aby kompetentny a tak dobrze przysposobiony zabrał głos w tej sprawie. Nigdzie właściwiej tego uczynić nie można jak w Krakowie i nikt do tego sposobniejszy nad prof. Łepkowskiego. Nieprzyjaciel nawet p. Luc. Siemieńskiemu smaku nie odmówi i instynktu artystycznego, ale zasobu pracy i wiadomości nawet przyjaciel mu nie przyzna.

Kiedy już o Stwoszu mowa, dołóżmy tu, że Niecmy podnieśli myśl restauracji grobu jego w Norymberdze. Prof. Łepkowski pierwszy ją obudził i pierwszy w imieniu Polski złożył swój grosz na ten cel. Grób ten pono zakupić miano, aby więcej w nim nie chowano zwłok i odnowić a ubezpieczyć, zajmował się tém A. Essenwein, który ofiary w Norymberdze przyjmuje.

Na scenie krakowskiej wprędce ma się pono też ukazać dramat *Wit Swtosz*... Jest już trzy utwory sceniczne z tragicznego życia artysty, p. Wł. Wędrychowskiego (wyd. we Lwowie u M. Poremby w r. 1866) przerobiony z poematu Pola, Fr. Wagnera „Scenen aus Nürnbergs alter Künstlerwelt (Nürnberg 1852), naostatek J. Priema — *Veit Stvos* dramat, który na scenach niemieckich grywany jest teraz, z wielkiem powodzeniem. P. J. Priem dozwolił rękopismu, którego przekładem zajął się p. Gustaw Czernicki. Dyrekcja teatru ofiarowała się go przedstawić.

I to jeszcze przytoczyć potrzeba, że na nagrobek dla Stwosza w Krakowie u ołtarza P. Marji zbiera się grosz powoli. Słusznie by mu on należał.

Więc gdy mowa o ołtarzu Mariackim, czyby się nie należało upomnieć o szczegółowy wykaz składek na restauracją pomnika i umiejętne sprawozdanie z czynności. Poboczne wzmianki po dziennikach nie starczą. Cóżby się przecie z historji restauracji tej nauczyć można i na przyszłość skorzystać.

M.

— **Dowiadujemy się** że hr. Alex. Przeździecki ciągle jeszcze zajęty jest pracą w Wiedeńskich tajnych archiwach, w których obfity znalazł materjał do obiecanego tomu piątego Jagiellonek.

— **Wydawnictwo Trzecieskiego**, któreśmy już w myśli byli pogrzebli, bo znaku życia nie dawało, w krótce dokończy i na świat ma puścić: — Sztuka i wykład elementarny jej dziejów. Takiego podręcznika od dawna bardzo nam było potrzeba, bo w ogóle w rzeczach sztuki mało mamy, a należy zaczynać od początku. — Zdamy sprawę z tego dzieła, jak skoro się tylko ukaże.

— W pierwszych numerach „Tygodnia“ dajemy nadzwyczaj zajmujące opowiadanie **Wilhel. Buszkata** o pobycie i ucieczce z Syberyi. — Jest to fotografija z natury zdjęta, przerażająca prawdą.

Czytamy w „Gazecie Toruńskiej:“ Otrzymujemy dziś telegram z Poznania, którym dzielimy się z czytelnikami naszymi na tym miejscu. Pan Bolesław Potocki z Będlewa darował na rzecz teatru polskiego w Poznaniu obszerne grunta, położone tamże przy ulicy Królewskiej z przepysznym ogrodem. Ofiarę tę kraj cały przyjmie z radością i wdzięcznością. Przyszłość sceny polskiej w Poznaniu tym wspaniałomyślnym darem uzyskała silną podstawę, a mniemamy, że podpisy na akcje, tak bardzo ułatwione i dla mniej zamożnych, za tym świetnym przykładem zbiorą się jak najliczniejsze, aby stanął piękny gmach, w którym muzy narodowe zamieszkają. Będzie miał więc Poznań ustroń dla szlachetnej zabawy i dla pielęgnowania języka ojczystego. Myśl przez „Gazetę Toruńską“ rzucona, jako skromne ziarnko na niwie ducha publicznego, wystrzeliła już wysoko i rość będzie ku pożytkowi powszechnemu. Składamy podziękowanie w imieniu całej społeczności naszej szlachetnemu dawcy; imię fundatora uwieczni się przyszłym gmachem teatralnym w kronikach miasta Poznania i w dziejach sceny ojczystej.



— **Korespondentowi z Kongresówki** serdeczne dzięki za dodaną otuchę, której potrzebowaliśmy — Bóg zapłać!

— **P. Rem. . . .** w Krakowie, wraz z towarzyszami, dziękujemy za miły list i ślemy pozdrowienie.

(Dodatek.)

Szlachta drobna na Polesiu.

Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.

Część III.

(Ciąg dalszy.)

Stary Tomasz. — Polowanie na wilki. — Ogadanie Szczors i hrabiego Adama Chreptowicza.

— Ale otóż panie i moja chata przy drodze, a może też pan raczy wstąpić, choć plunąć, jak to mówią, w chatę?

— O nie mój ojcze! — odpowiedziałem — ja do was nie po to pójdę, bo tam gdzie wasza chata, wasza jest prawda! pragnę więc na chwilę wstąpić i was wszystkich w chacie pozdrowić i uszanować was starego, abym się też kiedyś i ja zestarzał i żeby też i mnie szanowano, bo jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

— Zbytek to łaski pańskiej! — odrzekł — więc proszę pana, otwarte są progi dla uczciwej nogi!

Wszedłem.... Jak zewnątrz chata wyglądała schludnie, tak też było i wewnątrz. W sieni staruszka lat około 70, rzeźwa i czysta, siedziała za krosnami i robiła dość cienkie płótno.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i t. d. wymówiłem zwykłe pozdrowienia, jak to już nieraz opowiadałem. Czy to wam pani matko robić płótno? — rzekłem — czy to wam kłopotać i kołatać starą głowę, czy to nie macie do tego młodszych?

— A toć jest córka i czasem pomaga, ale teraz zaprzątnęła się wieczerzą, ugotować dla ojca, dla naszego zięcia swego męża, co od służby ogrodowej niebawem przyjdzie i dla czworga wnuków, to i dla niej jest robota. Zresztą co się dziś zrobi, to jutro robić nie będzie, — a bez pracy nie będzie kołacy.

Wszedłem na prawą stronę, gdzie drzwi były otwarte, rzeczywiście zobaczyłem 40-to letnią kobietę, także schludnie ubraną, która skrzętnie chodziła około komina z nastawionémi garnkami. — Szafa przy ścianie ode drzwi była zastawiona kilkoma talerzami i łyżkami cynowémi, nożami, widelcami, flaszkami i szklankami na jednej górnej półce, a trzy inne półki miskami glinianémi i łyżkami drewnianémi. Stół prosty i przy nim ławy do siedzenia z grubych desek sosnowych, na ścianie przeciw szafy dwa obrazy w ramach, Pana Jezusa ukrzyżowanego i Jego Matki, z wizerunku Ostrobramskiej; były także porządnie i puszysto zaścielane dwa łóżka przy ścianie od pieca i przy ścianie od komory. Przez środek pułapu pod belkami był siostrzan (podciąg) nieco grubszy z napisem: „A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami!“ Gospodarz poprosił na drugą stronę a córce coś krótko podszeptał, przeszliśmy sień do izby porządniejszej. Tu znowu, jak zwykle, pozdrowiwszy chatę, zastałem jednego chłopaka dorosłego, który robił siatkę na więcierz, drugi młodszy niedawno wróciwszy ze szkółki, uczył czytać może 12-cie lat mającą dziewczynkę; także tu były dwa dość przystojnie zaścielone łóżka, stół lepszy nakryty czynowatém płótnem i ławy; obrazów na ścianie więcej a na siostrzanie napis: „Pokój temu domowi i w nim mieszkającym r. p. 1802“ (głośno to przeczytałem). Chłopcy i dziewczątko pocałowali mnie w ręce a ja każde z nich w głowę (były to wnuki). Córka przyniesła na cynowych talerzach dwie ryby, świeżo więdlonych leszczów, chléb, masło i plaster miodu, sztofik nalewki czerwonej i dwie szklaneczki; dzieci stanęły przy ławie, stojącej około pieca.

— Niechno pan raczy spróbować — rzekł — naszej nalewki, jest to stara tarnowka (z jagód ciernia), wypił do mnie „Daj nam Boże zdrowie.“

Spróbowałem, była wyborna, więc także wypiłem, zakąsiłem chleba z masłem, potém zjadłem całego dwufuntowego leszcza, a wszystka zakąska była bardzo smaczna i w porę, bo się też jeść chciało. Słońce już było nad zachodem. — Córka znowu przyniosła polewany dzbanek piwa i dwie szklanki.

— Czy to już cała wasza rodzina? — zapytałem starego.

— Ot, jeszcze więcej — odrzekł — starsza wnuczka Marysia, co już wkrótce pójdzie za mąż, poszła z bielizną do wody; zięć ogrodniczkiem, tylko co go nie widać a syn w Wiszniowie żonaty, także z czworgiem takichże wnucząt, jest dozorcą przy hamerni, zaś jednę moję wnuczkę już wydał za mąż i cieszy się także że jest dziadkiem, bo ma trzyletnią wnuczkę i półtoraletniego wnuka, który już chodzi. Syn jego ten co żonaty jest kowalem młotowym przy fryszerce a młodszy szmelcerem przy wielkim piecu. Jest panie szlachty dość i mnoży się i rozdrabnia; Bóg wie co to z tego będzie, ale kogo Pan Bóg stworzył, to go głodem nie umorzył. Miałem ja jeszcze jednego syna, Panie świeć nad duszą jego, był pomocnikinm nauczyciela przy szkółce, bo miał dość dobrą naukę od tegoż nauczyciela, naszego pokrewnego, którego hrabia wyedukował w Wilnie, ale ten syn wkrótce umarł, lat temu 18, zaraz po bytności na wizycie księcia kuratora Adama Czartoryskiego, a któremu mój syn przy egzaminowaniu dzieci tak się podobał, że mu ten książę podarował zegarek srebrny, który na pamiątkę od tyle lat wisi pod obrazem w stroik oprawiony, ale go nie nakręcamy, odkąd życie syna ustało, na gorączkę, co ją tyfusem zowią.

— No — rzekłem — panie ojcze, komu w drogę to i czas, a jeszcze mila do Korelicz.

Wypiliśmy po czwartej szklance piwa, pozdrowiwszy i i uściskawszy wszystkich, podziękowawszy za posiłek, wyjechałem. W parę dni posłałem przy okazji dwie książki do nabożeństwa, ładnie oprawne, wydania Filipa Piegłowskiego, jednę dla Marysi, co miała iść za mąż, drugą dla młodej Kostusi, co już zaczynała nieźle czytać z nauki od brata, starszego o lat kilka.

Część IV.

Szlachta drobna na Polesiu ku Białorusi.

Podróż na Polesiu ku Białorusi. — Huta szklana. — Widok Berezyny. — Borysów, biedny rybak szlachcic. — Jego opowiadania o wojnie, — o szlachcie Białoruskiej. — Rzut oka na Białoruś. — Podróż ztamtąd na Podole. — O spotkaniach się ze szlachtą na noclegu. — Podole inny świat, inni ludzie, szlachta. — Wzmianki o ludności.

Długo byłoby opowiadać różne z poczciwą drobną szlachtą spotkania na Polesiu litewskim, gdzie ta szlachta ma jeszcze więcej sprytu, bo więcej też oświecona jak na Polesiu wołyńskiem. I lepiej się ma, i porządniejsze chaty, i lepsze zagrody, i większe mają pasieki, i chleb lepszy, i coś też więcej do chleba, jakby się stosowali do świętej Ewangelji, że nie samym chlebem człek żyje. A skracając te opowiadania, wypada mi coś powiedzieć jeszcze o drobnej szlachcie na Polesiu ku Białorusi i ztamtąd znowu obracając się ku Wołyniowi na Podole i Ukrainę. — Bo w rok później od rzeczy opowiadanych potrzeba mi było jechać za interesami aż pod Witebsk. Przejechawszy puszczę Smolanickę, w której prócz lasu sosnowego, rozciągającego się mil kilka po obu stronach traktu do Mińska i Borysowa, tylko nad sobą niebo, przed sobą ziemię, gdzie niegdzie jakąś nędzną czarną karczmę i kilka chat leśnej, lichej, kurnej osady i przed sobą piaszczystą drogę, nudną jak słota, widzieć można. Stanąłem na popas wśród lasów, znajdując przecie furaż dla koni. Odwiedziłem obok piękną hutę szklanną i magazyn wyrobów.

— Dawnémi czasy za Radziwiłłów — mówił inspektor szlachcic, będący w towarzystwie żyda — wyrabiano tu szkła kryształowe różne i rżnięte, a nawet płyty na zwierciadła, jak o tém stara szlachta opowiada, ale dziś po tylu klęskach krajowych i przemianach dziedziców, choć to niby zarząd główny dóbr księcia Wittgensteina w Nieświeżu formaljzuje dobra, aby otrzymać jak najwyższe dochody, ale gdy żydom w arendę zakłady książęce puszcza, niema prawda i pożytku krajowego.

Poprosił on do siebie na zakąskę i chętnie poszedłem, bo na tym trakcie z głodu prawie umierać trzeba, a za najlepsze nawet pieniądze nic, nawet jajka dostać nie można. — Przywołał majstra szmelcera, kazał mu aby dał znać, gdy w donicy massa będzie gotowa, żebym zobaczył jak się zręcznie wydymają butelki, a z drugiej donicy jak się wygładzają tafle szkła do okien. W pół godziny nie więcej wszedł majster i oświadczył, że już huta czynna. Z ciekawością oglądałem te roboty, choć już dawniej daleko doskonalszą hutę szklaną widziałem w Barczącej pod Warszawą, gdzie sposobniejsi robili Niemcy, ale technika ta do mojej rzeczy nie należy. — Zabawiło mię tylko trzech szlachty hutników, którzy cybuchami nabierając po bryłce masy szklannej rozdymali banie, wielkości głowy dziecięcej, a dmuchnąwszy silniej cybuchem, banie te pękały mi na wiwat wystrzałem tak silnym, jak z pistoletu. Były to zwykłe salwy dla wizytujących hutę, a za to dostawali na konsolację to jest na piwo po złotówce, albo co kto łaskaw. Popas mój bawił ze dwie godziny, zdążając na nocleg do Mińska, o którém niema co powiedzieć, tylko że starożytne miasto i prawie bez życia, przenocowawszy jechałem dalej ku Borysowu. Równie też jadąc po nudnej drodze ze wzgórka okrytego małemi krzakami, ujrzałem rzekę Berezynę i jej okolicę. Żal mi serce ścisnął przypomniawszy sobie, co się tu pogrążyło nieszczęść i cierpień ludzkich, w czasie klęsk 1812, roku na rzece błotnistej i grząskiej. — Przypomniałem sobie, że tu ostatni z moich czterech stryjów, zginionych w różnych częściach świata w nieustannych Napoleońskich wojnach, na przeprawie przy jenerale Dąbrowskim głowę swą także położył, zmówiłem za niego wieczny odpoczynek i za dusze wszystkich poległych. Przeprawiłem się do miasta powiatowego Borysowa; bryczka mi się popsuła, konie trzeba było przekuć, zgodziłem stelmacha i kowala, który obiecali co potrzeba zrobić, ale nie wcześniej jak na dzień jutrzejszy do wieczora. — Oddałem roboty pod dozór mojego służącego, sprytnego człowieka, a wstawszy, jak zwykle, bardzo rano, poszedłem nad rzekę Berezynę ponowić modlitwy za poległych, za niewinne ofiary wielce dumnego, Wielkiego Napoleona, który ówcześnie blisko pół miliona wojsk sprzymierzonych i ruskich, w zaspach śniegu, w głodzie i chłodzie, najokropniejszej śmierci poświęcił.

Przyszedłszy nad tę smutną rzekę, spostrzegłem niedaleko brzegu rybaka, wracającego dobrém czołnem z powybieraną rybą z wiercierzy i wieraszek. Wezwałem go do brzegu, poznałem zaraz z fizjognomji że to był szlachcic, wieku około 60 lub trochę więcej; zobaczyłem ryby, spytałem co każe sobie zapłacić; odpowiedział z pokorą, że ta ryba warta była złotówkę, a było jej, jak miarkuję, około 10 funtów. Zgodziłem się na żądaną cenę z warunkiem, aby za mną zaniósł do żyda, na rogu w rynku. Tu odebrałem rybę i oddałem mojemu słuzącemu do ugotowania wszystkiej na obiad, potraktowałem szlachcica, który przeziąbł trochę na wodzie i zapłaciłem, a człowiek mój wziął się do urządzenia, ugotowania i posmażenia ryby.

— Małoście panie ojcze — rzekłem — dzisiaj zarobili! — dałem mu na zakąskę kawał chleba i słoniy. — Czy nie chcielibyście więcej zarobić? jeżelibyście wiedzieli gdzie kaczki dzikie, popłynęlibyśmy waszém dobrém czółnem z moją dubeltówką, a możebym coś ubił na pieczyste i was za ten czas nagrodził!

— A dobrze panie, tylko niech pan pozwoli — odpowiedział — zaniosę do chaty tę złotówkę, aby żona kupiła chleba i kaszy na krupnik, bo tam w chacie ani zdziebełka karmu niema, a wnuków dwoje, sierot po obojgu rodzicach, z głodu płaczą; trzeba by też wziąć i moją strzelbinę, może coś pomogę, ale mi pan raczy dać nabój, bo nie mam. Ot, pan się pożywi tymczasem, a ja zaraz do czołna przyjdę.

Dałem mu kawał chleba dla sierot i chleba kawał dla babki, pocałował aż w obie ręce.

— Otóż to panie dziatki będą miały kapłona! rzekł.

— A jakiż to kapłon, kiedy ja dałem tylko bułki? — spytałem.

— Oto panie babka bułki nadrobi w miskę, zagotuje wody z cebulą i solą i tę bułkę poleje, to się dziadki ochlepają z tym rosołem, zagrzeją i pożywią, a my to zowiemy kapłonem.

Nie długo czekałem przy czółnie, szlachciura w derdy przybiegł, nabił strzelbę i popłynęliśmy rzeką, jak mówił, het precz aż ku Bobrujskowi. Po niejakim czasie rzekł:

— To tu, jak pan widzi, Francuzi w reiteradzie stawiali mosty do przeprawy 1812 roku, a tak im było pilno, że we dwa dni dwa mosty stanęło, ależ to mosty były trochę na błocie, trochę na wodzie i trochę na lodzie, a na łap cap robione z kraglaków, parszaków i z chat naszych, łamały się na nich i wojska i pociągi i topiły się w rzece, a między niemi był płacz i zgrzytanie zębów, nawet bogactwa zabrane z Moskwy topili, aby tylko życie ocalić. Na tamtej górze stał Dąbrowski, a na tamtej podobno Zajączek, zasłaniali przeprawę od Moskali, a myśmy pomstowali Francuzów, to też mało wyszło z duszą na suszę.

Wtem na zakrętach zerwało się między błotami kilka kaczek i kaczorów, palnąłem z dubeltówki raz i drugi i dwie kaczki upadło; źle ich było dostać, ale szlachcic probent (świadomy, jak sobie proradzić), doszedł ich a jeszcze raz strzelił do jednej, która się z przed niego jeszcze poderwała i zamiast dwie, przyniósł do czołna trzy kaczki.

— Ależ pan gracko po naszemu strzela — rzekł — zmęczywszy się trochę.

— A i wy strzelacie po mojemu — odrzekłem.

— Nie tak bardzo — odpowiedział — bo pańskie kaczki od razu padły trupem a moja ożywiała się jeszcze i brnąłem za nią po pas, ledwie nie po pachy!

Dałem mu nabój, ale też dobyłem i manierkę z wódką i chleba, aby zakąsić.

— Ha! jać to nie łasy na siwuchę, ale na wodzie to napić się z łaski pańskiej nie zaszkodzi, a może też uciąwszy pogrzebowego, ponowi się jeszcze szczęście!

Zakąsiwszy, mówił dalej:

— Ot, jak pan widzi, po prawej stronie, chciał zajrzyć w oczy Francuzów Czyczagów; już nawet był postawił trzy czy cztery armaty, ale jak to tylko Francuzi z drugiej strony postrzegli, to jeszcze szybciej uszykowali się w kilka armat i w mig, jak wypalili do baterji Czyczagowa, to nawet śladu ani z armat i koni, ani też z ludzi nie zostało, tylko się tam zakotłowało, ziemia święta pokryła wszystko i basta. To się też Czyczagów przeląkł i uciekł w lasy i dopiero wyszedł jak już nieszczęśliwi Francuzi byli na trakcie do Wilna.

— Jakże wy wiecie, czyście byli wtenczas jak tu była wojna? — spytałem a on odpowiedział:

— A tak panie, byłem bo musiałem, bo jak Francuzi szli do Moskwy, to mnie także zaciągnięto do wojska, które Polska i Litwa przeciw Moskalom z niemi, nie wiedzieć po co i za co postawiła. Ja służyłem pod pułkownikiem Sołtanem, który za to raptem awansował, iż niby pułk kawalerji około 600 ludzi z Litwinów szlachty w awantgardę postawił. Nabili się nas pod Smoleńskiem Moskale, potém pod Możajskiem czy Borodiną, gdzie staliśmy i wytrzymywali ogień z księciem Józefem Poniatowskim, na prawém skrzydle armji; bili nas Moskale, a potém bieda biła, bo nie było co jeść ani dla koni, ani dla nas ludzi; tośmy z pod śniegu po grzędach zmarzłe głąbie kapusty wydobywali i tém się karmili, czego by nawet trzoda chlewna w dobry czas nie jadła. — Jeszcze gorzej było, gdyśmy się reiterowali z Moskwy, Boże odpuść grzechy! tośmy koninę jak psy, a nawet obrzynane ciało trupów opiekali i z głodu zjadali. Wprawdzie ja nie jadłem, bo się trzymałem blizko pana porucznika Skirmunta, a to człowiek był przezorny, i choć po kawałku chleba udzielał niektórym do sakwy, a nade mną miał wzgląd, bo mnie sam zarekrutował. Niewiele nas zostało z owego półku a pe-

wnie ani czwartej części, gdyśmy tu już w okolice Borysowa na raczkach prawie i to połowa pieszo przymaszerowali. Tam ot pod tamtym lasem była chata mojego ojca, który służył od strony miasta pobereżnikiem (niech z Bogiem spoczywa). Ja trochę byłem chory, ale miałem siłę dobrą do wytrzymania, bom miał dopiero około trzydzieści lat, ale udawałem chorego śmiertelnie, pozostawałem się w tyle umyślnie, a szliśmy manowcami i nakoniec od armji pozostałem. Potém mnie jakiś strach ogarnął, jak posłyszałem głosy kozackie, którzy po lasach plądrowali i wojska nasze jakby poganiali, a co mogli zarwać, to bez litości bili do śmierci; więc znowu pociągnąłem za swojemi i z niemi się złączyłem blizko ojcowizny; patrzę . . . a tu ani śladu chaty mojego ojca, już ją Francuzi użyli na zbudowanie mostu, a także stodołę i dwie szopy rozebrali oni z kretesem, do szczętu, tylko ogniska z chaty jeszcze tlejące widziałem, bo tu może łapy swoje Francuzi, od mrozu, spruchniałkami ogrzewali. Nie było kogo i spytać się o ojca i o reszcie mojej rodziny. Cóż było robić? trzeba było iśdź z wojskiem; konia już dawno nie miałem, tak jak wielu moich towarzyszów, bo konie z głodu i chłodu pozdychały; tylko kilku naszych oficerów w odrapanych ubiorach, podobnych do diabłów, mieli hebety, które ledwie nogi ciągnęły za sobą. Stanęliśmy więc na lewém skrzydle wielkiej armji, a która teraz była bardzo mała. Wtenczas to widziałem, jak jeszcze dalej na lewo przywitała artylerja francuzka po drugiej stronie artylerję ruską Czyczagowa, aż musiał uciekać jak zając, a za nim wszystkie zające. O! gdyby on miał rozum, wtenczas od Berezyny ani by noga francuzka nie uciekła; mieli nas Moskale jakby w matni, ale może i Kutuzów winien, iż mu nie dał znać, że Francuzów jak owce pędzi; mówili nawet, że byli z sobą na bakier. — Ja już na drugiej stronie zobaczywszy co się z naszémi Francuzami dzieje, odłączywszy się, jak wielu innych, od swoich, kopnąłem się śniegami i lasami aż pod Słuck, gdzie dostałem się do wuja, który miał rodzoną siostrę mojego ojca za żonę, a był tam także pobereżnikiem. Tam dopiero pod wiosnę dowiedziałem się, że mój ojciec przy robotach mostów do przeprawy utonął, a siostra wdowa z dziatkami tak się gdzieś sponiewierała, iż o niej ani słychać nie było. —

Choć mi dobrze było u wuja, jednak wróciłem w swoje strony już wiosną, jakby jaki ptak zamorski, bo każdy tam ciągnie gdzie się ulągnie, a błąkając się nad Berezyną po brzegach, przyjąłem na całe lato robotę u szlachcica nadbrzeżnego do robót ciesielskich w Borysowie zgodzonego, bo po wojnie ludzie nanowo budować zaczęli. — Ale u niego była jedynaczka córka, miała lat 20 i kilka, a hoża i zdrowa, gdyśmy i sobie także chatę wybudowali, w której, gdyśmy we troje żyli sobie blizko rok, pokochaliśmy się z tą córką i ożeniłem się i oto w tej chacie, przy biedocie, dotąd sobie z uczciwością wzajemną mieszkamy.

Bóg nas dotykał krzyżykami, umarł stary ojciec, no — bo stary! ale pomarli w jednym tygodniu mój zięć i córka, i my zostali tylko z moją babą, aby chodować sieroty, dwoje wnuków.

Podobno panie — mówił dalej — już na tym brzegu strzelać nie będziemy, obróćmy więc pomału na drugą stronę a ztamtąd będziemy holować (płynąć w górę rzéki) do Borysowa, a może się tam strzelić zdarzy!

Przebraliśmy się po za wyspę błotną i szuwary, a tam ubiłem jeszcze jednę kaczkę. Potém dalej płynąc w górę, mój przewoźnik przybił do brzegu i na osobnej wodzie, jakby na jeziorku, jeszcześmy ubili po jednej kaczce, wszystkich więc mieliśmy już sześć sztuk; nie chciałem więcej, zdążaliśmy więc do swego stanowiska.

W jednym miejscu zatrzymał się szlachcic czołném w poprzek rzeki, wskazał mi punkta nad rzeką i potém płynąc tak, opowiadał:

— Nietylko panie Francuzi mieli maroderów i złodziei, co chcieli się bogacić łupami wojennémi; tu dwóch chłopów rybaków wezwani zostali przez kozaka, który od strony polskiej jechał na koniu i zażądał, aby go przewieźli na drugą stronę, i obiecywał im czerwońca. — Oj dobra zapłata, pomyśleli — a spytali co będzie z koniem, bo konia czołnem przewozić trudno? — „Czort jeho bery!“ — odrzekł — „ja druhoho najdu!“ zsiadł i widać było, że ciężko był obladowany i jeszcze w sakwie pogmerał i coś pod płaszcz przypasał; jak siadł na czołno, to się aż pod nim ugięło; mrugnęli na siebie mużyki, jakby się zrozumieli, że kozak nie sam jedzie i że się w swoje strony przebiera z łupami; zdaleka było od miasta i chałup nadbrzeżnych, nikt nie widział, więc jak na środek rzeki wyjechali, ot pod tamtę wysepkę, ten co płynął sam drugim czołnem z tyłu, machnął kozaka wiosłem w łeb, zabrali trzos i sakwę z dukatami a jego pochowali w błocie na tej wyspie. Ale to panie na dobre ta krzywda i to morderstwo nie wyszło, bo te rybaki, co niegdyś żyli z sobą w dobrej przyjaźni, pokłócili się z sobą, zapewnie o nierówny podział pieniędzmi i nawet pokłóciły się ich rodziny, w blizkiem sąsiedztwie żyjące. Ten co przewoził kozaka rozchorował się, i w gorączce złorzecząc sąsiadowi, wszystko wygadał, tamten co wiosłem ubił kozaka, przeląkł się odpowiedzialności i powiesił się, chory na gorączkę umarł a pieniądze nie wiedzieć gdzie podziały się; podobno je zakopywali, jak zabitego kozaka, i skarb ten na żaden sąd nie zmartwychwstanie, tylko oni trzech może już karę cierpią a może zatrzymani na sąd ostateczny dla domiaru sprawiedliwości.

Przybiliśmy nakonic pod Borysów, szlachcic za mną poniósł kaczki; dostał znowu potraktowanie, darowałem mu, przez niego ubite, dwa kaczory i sześć nabojów z patronów blaszanych, w papier wysypanych, był bardzo kontent; nadto za trudy ze mną dzienne dałem mu jeszcze dwa złote. — Przerwałem jego niesłychaną radość, zapytawszy:

— Czy dużo tu u was szlachty i czém się trudnią, z czego oni żyją?

— Ej! u nas panie — odpowiedział — w naszych stronach jest niewiele, lecz w Ihumeńszczyznie i Sapieżyńszczyznie około Bychowa jest ich nierównie więcej; ba! i w Lubomirszczyznie ku Białorusi, w powiecie Sieńskim, a zwłaszcza kolo Janowa, ku Witebsku jest dość szlachty. — Ale to panie straszna biedota. Zimą i latem łakną kawałka chleba, a na przednowku, niżeli się grzybów i bedeł doczekają, to z głodu umierają. Zarobki w tamtych okolicach są bardzo trudne; ziemia niewdzięczna, choćby ją nie wiem jak obrobić, ledwie raz na siedm lat zarodzi i tylko czteremi ziarnami plonu nagrodzi, a zwykle ledwie się nasienie wraca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TYGODNIK ILLUSTROWANY

przy pomocy Bożej i spółczuciu czytelników niedawno rozpoczął

dwunasty rok

swego istnienia.

Cośmy przez ten czas zdziałali, o ile pismo nasze odpowiedziało ogólnej potrzebie i własnemu założeniu, jakie wreszcie zasoby dorzuciliśmy do ogólnej skarbnicy piśmiennictwa i sztuki krajowej, sąd o tém do nas nie należy; — oceni to kiedyś historja literatury, jak już dziś oceniła głębiej myśląca część publiczności, która trudy nasze uznaniem swém i poparciem niezmiennie otacza.

Co do nas, powiedzieć tylko możemy, że Tygodnik Illustrowany, nie odstępując ani na chwilę od pierwotnego celu swojego, w ostatnich zwłaszcza latach nie ograniczał się na czerpaniu z obfitych zasobów przeszłości, na przedstawianiu czytelnikom życiorysów i wizerunków ludzi zasłużonych z epoki dawniejszej, oraz opisów zamków, kościołów i innych zabytków archeologicznych, — lecz przeciwnie, starał się być wiernym, ile możności, obrazem chwili bieżącej. Każdy ważniejszy objaw społeczny, każdy fakt szerszej doniosłości w dziedzinie literatury, sztuki i przemysłu, każda nawet doroczna uroczystość, znajdowały odbicie natychmiastowe w szpaltach naszego pisma, bądź w formie luźnych artykułów, bądź obszerniejszych sprawozdań, objaśnionych, gdzie tego zachodziła potrzeba, stosownémi rysunkami.

Dając atoli pierwszeństwo i liczebną przewagę rzeczom krajowym, nie usuwaliśmy się bynajmniej od ogólnego ruchu europejskiego, w imię jakiejś fałszywie zrozumianej zasady odosobnienia — nie zasklepialiśmy wydawnictwa naszego w ciasném kółku swojskości, owszem, chwytaliśmy skwapliwie każdą sposobność wkraczania i na rozleglejszą arenę świata.

Nie od rzeczy może będzie powtórzyć tu słowa, które raz już przy podobnej sposobności wyrzekliśmy w naszém pismie:

„Zaprawdę, obfite posiłkowanie się tłumaczeniami i kliszami z zagranicy sprowadzonemi, byłoby dla naszego wydawnictwa zarówno dogodném pod względem literacko-artystycznym, jak i ekonomicznym; ale czy takie ułatwienie pracy redakcyjnej i umniejszenie kosztu jednałoby nam zasługę, a sztuce i piśmiennictwu krajowemu przynosiło pożytek? — jest to pytanie, na które odpowiedzi od ogółu wyglądamy."

Takiemi kierując się zasadami, Tygodnik Illustrowany wychodzić będzie i nadal, z tą tylko drobną różnicą, że w dodatkach nadzwyczajnych, które redakcja już oddawna do Tygodnika dołącza, drukowane będą celniejsze utwory belletrystyczne, z tegoczesnych piśmiennictw przepolszczone. Dodatek ten, nie wchodząc w zakres pisma, samym już formatem swoim wybitnie od niego się odróżnia i odrębną stanowi całość; umieszczanie więc w nim przekładów, w niczém dotychczasowego charakteru Tygodnika nie narusza.

Szeregu spółpracowników naszych literackich i artystycznych wyliczać tu nie będziemy, tak jak to czynią inne czasopisma, musielibyśmy bowiem w tym celu zadrukować kilka kartek. Ograniczamy się na sumienném zapewnieniu, że **niema ani jednej prawie znakomitości w tegoczesnej literaturze i sztuce krajowej, któraby w szpaltach Tygodnika nie zostawiła śladów swego spółdziałania.**

W części literackiej naszego pisma staramy się o jak największą gruntowność, obok przystępności, o żywe, wszechstronne traktowanie przedmiotów i umiejętne połączenie pożytku z przyjemnością, w czém zapewniona i nadal stała pomoc pierwszorzędnych autorów niemałą będzie nam pomocą. Część artystyczna Tygodnika stoi dziś tak wysoko, że, zdaniem ogólném znawców, żadne z pism illustrowanych krajowych, a mało które z zagranicznych, stanąć z nim może pod tym względem na równi.

Wielkie rozpowszechnienie, jakie Tygodnik Illustrowany znalazł w Warszawie, oraz w królestwie i cesarstwie, obok małej stosunkowo liczby przedpłacicieli w Austrji i Prusach, nasuwa domysł prawdopodobny, że powodem tego jest zbyt wysoka dotychczas cena Tygodnika w tych krajach. Wydawca przeto postanowił niedogodność tę usunąć i dlatego od Nowego Roku (1871.) oznacza następujące

Warunki prenumeraty:

Tygodnik Illustrowany wychodzi w Warszawie co Sobota; objętość jego od 1½ do 2 arkuszy, czyli od 12 do 16 stronnic druku.

Prenumerować można we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Kantory główne urządzone zostały:

u Jaworskiego, w Krakowie
u Seyfartha i Czajkowskiego, we Lwowie } kwartalnie po złr. 3 kr. 30, na prowincij w Galicji, Bukowinie i Szląsku austr. z przesyłką pocztową w opasce złr 3 kr. 82.

u Żupańskiego, w Poznaniu, kwartalnie talarów pruskich 2 sgr. 10, na prowincji z przesyłką pocztową w opasce talarów pruskich 2 sgr. 20.

Prenumeratę przyjmuje **Administracja Tygodnia** w Dreznie — kwartalnie w miejscu talarów prusk. 2 sgr. 10, z przesyłką tal. pr. 2 sgr. 20.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.